

Czesław odemknął ze szczer-

Pokrzywy, Gasztold i medale

Ciąg dalszy ze str. 1

stać się do olchowych zagajników, ojców się drwiał. Gotówka umożliwiała inwestycje.

Wylczyłem sobie — mówi Karol Babiński — że najszybszy obrót gwarantuje chów trzody. Jako pasztorz stosowałem ziemniaki. Siałem także lucernę.

Elke, osiemnastoletnia hektarowa, powie zaraz, któraś z młodych, i takie kłopoty. To przecież majątek, sam w sobie, prawdziwy skarb, wystarczyło trochę sprzedać, obkupić się w maszyny i siewalnice, jak myśz pod młotem. A Babiński, historyk-hobbyista uśmiecha się. Wyciąga przed siebie dłoń i wyciąga.

Maszyny to były takie: plug, brona konna, cep, widły i sierp...

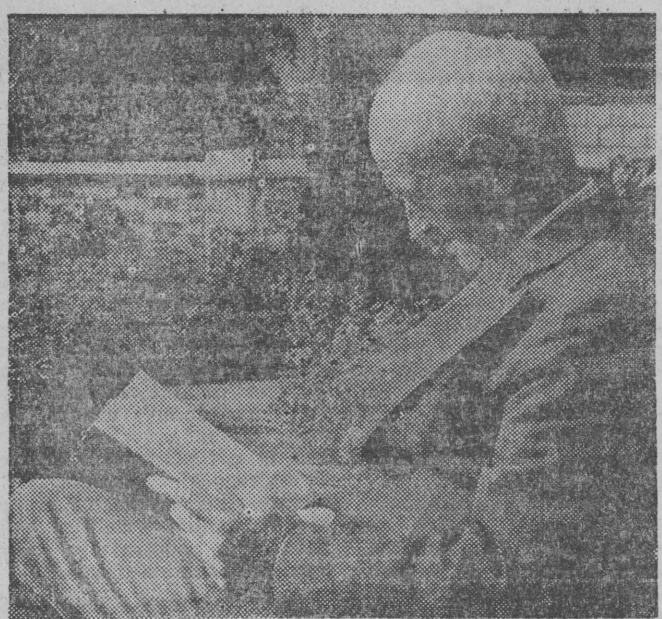
Na sierp wypadł akurat młody palec. Z blizną, taką charakterystyczną, wielokrotną, od sierpa, gdy osunął się z niego kłosa. Garść kłosów. I dodaje:

Z tym na osiemnastu hektarach, niemal w polędzyni, nie pośkożysz. Nie można też zapominać, że to były lata dwudzieste. Obowiązywała zasada: Bóg dał, Grabski wziął. Był kryzys. A w ojcowiskim gospodarstwie jeszcze dodatkowo trzęsł się podórka przed śmiercią gospodarza wszystko pozostaje i dymem...

Włóczył co, majątek? I jeszcze refleksja: zastanawiając się jak w ciągu tych lat zmieniły się powody do wdzięczności. Babiński dzie-

propagandzistą należy ko- niecznie z autobus wysa- dzić. Nawet kierowcy kazali się zatrzymać. Ale Babiński nie ugiął się. Do siebie — mówi — zapraszam. Przy- jedźcie, popatrzcie, że dzie- ki tej swojej polityce po- budowałem się, maszyny ku- piłem, więc mam namaca- ny sprządzak, że jest słu- żba. I rolnikowi zapew- nia sukces. Bo pieniąd- za za pracę, a nie za to, że coś samo wyrosło. Posłuchali. Nie wyszli. Ale w odwie- dziny też nie przyjechali. Właśnie wyobrażenie świata bywa czasem trwałsze niż niejedna skała. Skruszył go trudno. Trzeba mieć do tego odwagę.

Babiński przyznaje, że tej odwagi zabrakło mu zaraz po wojnie. Wiedź nie ucie- rpiła. Fronty ją szczyliwie omiły. Tylko szyby z o- kien wypchnął podmuch eksplozji, gdy wojsko wysa- dzało oddalony o dwa kilo- metry most na Narwi. Mo- żna było od razu gospodaro- wać, a jednak niewiele się do tego paliło. Karol Babi- Ński z zaletami kółka rolni- czego, dzięki któremu wie- dział, że dwa pierwsze ciągnięci, zwałak do mo- mentu, gdy w końcu wyja- śniło się definitywnie, która wada silniejsza. Dzienna, białostocka, czy nocna — bagienka. Wyboru logicz- nego właściwie nie było, realia trzymały przy ziemi, ale pod ziemią można było trafić do kuli, na politykę. Tego się bał, nie ukrywa.



kował braciom, że po dobro- ci odeszli z ziemi, i nie trze- ba było dzielić spadku. Za- czekał się spłata. A dziś? Gdy przekazywał gospodar- stwo synowi, dla zachęty polecał na giełdę i kupił wartburga. Była „dziedzic” się nie zawałił, nie uciekł, jak trójka starszych. Syn — następca wraz z dobrze za- gospodarowaną ziemią, bo- gatym obiektem i ślącymi wartburgiem dostał także wdzięczność rodzeństwa, które chętnie przy okazji świąt i urlopów odwiedza rodzinny dom, deklaruje po- moc i cieszy się, że dorobek życia rodziców nie poszedł na marne, a także... i nie muszą się nim zajmować.

Z tej powszechnej ucieczki do miast emeryt-rolnik Ka- rol Babiński nie jest zado- wolony. Maszyny wszystkich nie zastąpią. Do maszyn po- trzeba głowy. I jedna rodzi- na też już nie wystarczy. Lepsze są spółki. Spółki? Zapachniała rewolucja. Rol- nik indywidualny przyszłość widzi w spółce. Tak, weźmy choćby kombajn ziem- niaczany. W Babinie jest kilka. Co, sam kartofle wy- bierze? Wspólna praca na- rzuca praktyczną potrzebę. Mniejsza o to, jak to „współ- ność” nazwać.

W ogóle przez te swoje rewolucyjne poglądy Babi- Ński często miał kłopoty. Razu pewnego jedzie auto- busem na rolniczą konfe- rencję, w autobusie jak to w autobusie, gospodarze się rozgadali, każdy wyjawia własną receptę na dobrobyt, a Babiński tylko słucha. W końcu nie wytrzymał, wsta- je i mówi, że zdrowy rozsą- dek podpowiada, żeby ceny na kartofle nie podnosić. Bo jak? Skarby sypały do ko- rzyta. Swinie złotem karmił. Komu to się opłaci? Na pewno nie państwu, które zamiast mięsa będzie miało ziemniaczane piramidy, z którymi nie wiadomo co począć. Bo u nas — dodaje — najlepszy biznes to po- winny być buraki i świnki. Korzyść z tego obopólna. Cukier, mięso — dla miasto- wych, a tania pasza (z liści i wysiódków) dla gospodar- skiej zwierzyny, która je- szcze odpłaca mlekami i szybkim, w wypadku trzody, zwrotem zainwestowanej go- tówki. I co? Zrozumiał? Tylko jedno. Ze takiego

Nie ukrywa też, że kiedyś w końcu na dobre zaczął się zajmować polityką, soltyso- wać, siedzieć w wojewódz- kiej radzie, na exekuty- wach i w komitetach, a także działał w rolniczym samorządzie, do czego go skłoniła potrzeba intensy- wniejszej pracy dla innych, nie tylko dla siebie, to stracił. Nie, nie w płonach, czy dostatkach w zagrodzie, bo ta była już wtedy urzędzona, ale stracił trochę z wcześ- niej energii. Dokuczli- wiej bolał uwagi, które cza- sem usłyszy pod kuznią. Ze- jemu łatwiej. Ze wyraża się z Babina. Doskwiera to, gdyż Babiński na ziemi mo- żał od 1929 roku. Otrzymał ją z nadania wiel- kiego Gasztolda. Tego same- go, który zasnął między innymi dzięki żonie, Bar- barze Radziwiłłównie, póź- niej żonie króla. W akcie (zachował się) stoi czarno na białym, że „zle- niem nad Narwią nadaje się 9 strykiem braciom Ba- bińskim wraz z prawem połowy ryb w rzecze wze- łamińskim”. Dziś Narew nie ta, po melioracjach z uroczysk i bagien zrobił się urodzajne łaki. Ryb mniej, chudziutki i inaczej sma- kuje. Cokolwiek by mówić o działaniach „ochroniar- zy” przyrody. Zresztą, na nich też spogłada się z obawą. Zmierzająca już, urodzaj- ne łaki mogą dawać obfity plon, ale czy dają? Tyle się przecież mówi o Nar- wiańskim Parku Narodo- wym. O tym, by z jego o- brzeży zmniejszyć intensy- wne rolnictwo. A Babiński to właśnie jego skraj. Babino gospodarne, zasiedlone nad Narwią, żyjące się na jej nadbrzeżnych łakach — boi się. Z rezerwatem zapowia- da walkę. Czy zwycięży? O tym myśli teraz Karol Ba- biński z Babina, bo z ko- rzyści osobistych dzięki po- lityce zyskał właściwie jed- na. Ostatnio Rada Państwa na wniosek WZKRRIOR w Białymstoku nadała mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, co spo- woduje, że jego emerytura — ze starego, tzw. rolnicze- go portfela — dościsnie e- meryturę sąsiadów. Dobrze i to.

ZBIGNIEW ŁUPIŃSKI
Fot. autora

O kapitanie WŁADYSŁAWIE WYSOCKIM w Polsce chyba słyszeli każdy. Każdy wie, że był taki oficer, który poległ śmielej bo- hatera w dniu 12 października 1943 roku w bitwie pod Lenino. Historia wyekspozowała akurat ten właśnie dzień. A przecież kapitan Wysocki był również bohaterem kampanii wrześniowej. Walczył w mundurze ze swoją kompanią do końca. Bronił nie złożył.

Jeszcze 20 października ówczesny po- rucznik Władysław Wysocki miał pod swoją komendą 250 żołnierzy uzbrojo- nych w 5 cekaumów. Próbowali przedostać się na Litwę, planowali dalej walczyć na Zachodzie. Niestety granica litewska była już mocno strzeżona, nie udało im się przedo- stać ani całym oddziałem, ani pojedynczo. Wówczas to porucznik Wysocki rozkazał swój oddział, z którym w bojach przeszedł pół Polski: od Tomaszowa Mazowieckiego poprzez Sulejów, Opoczno, Radom, Chełm, Lubelski, Brześć, Kobryn, Wołkowysk, aż do granicy litewskiej. 21 października 1939 roku broń została zniszczona, a oddział poszedł w rozsypek. Władysław Wysocki udał się do pobliskiej Lidy, gdzie mieszkała żona z córką. W grudniu został internowany.

Józef Wójcicki w swej książce „Bohater spod Lenino” opisuje dokładny szlak bojo- wy Wysockiego we wrześniu 39 roku. „Z pewnością zasłużył na order Virtuti Militari, ale kto miał mu wówczas go nadać?”

Być może Wysocki Radzieckim, Władysław Wysocki gdy tylko usłyszał komunikat o po- stawianiu Wojska Polskiego, ruszył tam na- tachmian. Jednak w drodze chwycił go tyfus i zamiast na szlak bojowy — trafił do szpitala. Potem do Andersa nie zdążył, gdyż tamten już był w Iranie. Zaczął więc pra- cować w miejscowym kolchozie jako bry- gadzista i dopiero w maju 1943 roku zmów

Jeszcze o mnie świat usłyszy

ruszył do wojska. Tym razem do I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Wspomnienia kolegi

W województwie białostockim dwie szkoły noszą imię kapitana Władysława Wysockiego: Zespół Szkół CZSP w Białymstoku oraz Szkoła Podstawowa nr 2 w Białym Podlaskim, a więc w mieście, gdzie się kapitan urodził i wychował. Białą szkołę często odwiedza pan Wiktor Bobrowski, gimnazjal- ny kolega Wysockiego. Młodzieńcze chętnie słucha wspomnień pana Wiktora, które są ilu- strowane zdjęciami, zarówno prywatnymi pana Bobrowskiego, jak i tymi, które znaj- dują się w szkolnej izbie pamięci. Wiktor Bobrowski, emerytowany nauczyciel, jest znakomitym gawędziarzem.

„A na tym zdjęciu poznajecie kto to jest? Tak, tak — to jest nasz Zysa Górka, a ten drugi od lewej to właśnie ówczesny podcho- rączy Wysocki z grupą kolegów. Dzisiaj już żaden z nich nie żyje!”

Uczniowie też swoje wiedzą o swoim pa- tronie. Od nich usłyszałem, że wychowaw- cą kapitana, jeszcze w podchorążówce w Komorowie koło Ostrowi, był m.in. kapitan Henryk Sucharski. A wozem dla Wysockiego był jego dowódca z podchorążówki — pod- pułkownik Stanisław Dąbek — bohater z Kępy Okyskiej. Do tej samej podchora- żówki w tym samym czasie uczęszczał też późniejszy bohater spod Włzy — Władysław Raginis.

Pamiętam jak Włodek — wspomina pan Bobrowski — grał w naszym gimnazjum w Nocy Listopadowej. Wyśpińskiego postać Piotra Wysockiego. Dzisiaj już nie wiem dlaczego polonista Stanisław Merck obsadził Włodka w tej właśnie roli. Czy to ze względu na nazwisko, czy też ze względu na predy- spozycje aktorskie, w każdym bądź razie na galowym przedstawieniu Włodek zagrał swoją rolę znakomicie. Po przedstawieniu na którym była cała śmietanka towarzyska ów- czasnego Białoska, profesor Merck bardzo chwalił Włodka, a ten zartem odpowiedział: „Panie profesorze o mnie jeszcze świat usły- szy”.

Prawdopodobnie ten epizod zaważył na je- go dalszym życiu. Być może dlatego po u- kończeniu gimnazjum poszedł do podchora- żówki.

Włodek bardzo dobrze się uczył. Nie po- choził z bogatej rodziny, żeby jakoś żyć — dorabiał korepetycjami. Niejednemu w Białymstoku zawiązała mu, że później dostał się na studia. Spotykaliśmy się też na boiskach sportowych. Ja byłem dobry w kuli i dysku, a on znakomicie rzucił oszczepem. Bardzo dobrze strzelał, startował w wielu zawodach. W gimnazjum był bardzo lubiany i później gdy został już oficerem, pierwszym oficerem z naszej szkoły, też nie zdarzało nosa. Inni oficerowie, na przykład, przyjeżdżali do Białoska i spał w hotelu, Włodek zaś okoliczno- ścią u mamy. To może zbieg okoliczności, ale wiecie dzieci kiedy zginął kapitan Wy-

socki? Tak, tak — 12 października i rów- nież 12 października, tylko trzy lata później zmarła jego matka i jest pochowana tu u nas w Białosku.

Wspomnienia żony

Panią Leonidę Wysocką poznałem przy okazji odsłonięcia pomnika kapitana w Białosku. Matka chrzestna i Praskiego Pułku

Zmechanizowanego im. Kapitana Władysława Wysockiego mimo upływu lat mówią o me- tu nie potrafił ukryć wzruszenia. „Mój syn to był tylko 14 lat. O nie- których faktach dowiaduję się od kolegów, znajomych. To nie był tuzinkowy człowiek, słabość. Ujmując łatwy w pojęciu, ale stanowczy i zdecydowany. Miał dużo odwagi cywilnej. W 39 roku, gdy wyruszał na front, córka Wiesia miała 2 lata, a on wyruszał pełen animuszu. W październiku wrócił do Lidy przybity i zalanym, ale nadbrał siły. Później został internowany i nasze drogi się rozszły.”

Ja byłem w Białymstoku i dłuższy czas nie wie- działam co z meciem się dzieje. Aż gdzieś w maju w 43 roku dostałam telegram: „Je- stem na miejscu, całuję Cię — Włodek”. Nie rozumiałam treści. Wiedziałam, że powsta- wie I Dywizja i że w niej jest Włodek — mój mój sąsiadki. Myślałam, że to on przysłał telegram, tylko nie rozumiałam tego całuję. Polecałam do sąsiadki i ta mi dopiero po- wiedziała, że to chodzi o mego Włodka... Pamiętam, było już ciepło, wyszłam w pole i po raz pierwszy od wielu lat zobaczyłam drzewa, zboże, usłyszałam ptaki. Byłam wdzięczna przyrodzie, światu, Bogu. Odzyska- łem list dostając na jego imieniu — 27 czer- wca. Natychmiast odpisałam, wysłałam mu też zdjęcia. Marzył o spotkaniu ze mną i córką. Ale też pisał, że jest wojna, że musi iść na front, że musi walczyć. Marzył więc o spotka- niu w wolnej Polsce. Niestety nie było to nam pisane...

Nawet nie wiem jak on zginął. General Zygmunst Berling, co prawda, w swoich wspomnieniach mówił, że Włodek bronił się do końca, i że ostatnią kulę zostawił dla sie- bie. Ale nie wiem czy tak było... Zresztą generał bardzo lubił Włodka i dzięki niemu mój syn szybko awansował. Do ostatniej swo- jej bitwy wyruszył w randze kapitana, jako zastępca dowódcy III batalionu. Wiadomo, że podczas ataku na Trygubową Włodek był ranny. Wiadomo też, że do końca bronił się w szkole. Jak zginął — nikt nie wie, bo nikt z tych, co tam z nim byli, nie przeżył. Znałam go i wiem, że swój żołnierski ob- owiązek wypełnił do końca, ale też wiem, że należał do ludzi, którzy zawsze mają na- dzieję. Dlatego też nie bardzo mogę uwie- rzyć, że potrafił skierować broń na siebie.

Nieraz bywał we wrześniu i później w trudnych sytuacjach. Nigdy się nie zalał. Myślę, że nawet wówczas, gdy w tej szkole w Trygubowej został sam, gdy zewsząd już byli Niemcy, nie przestawał się cieszyć. Wiele publikacji mówi o tym, że ostat- niej kuli, którą miał zatrzymać dla siebie, to jest legenda, legenda, która podtrzymy- wał generał Berling, legenda Wołodyjow- skiego, pułkownika Dąbka, legenda kapitana Raginis. Być może i tak było, ale tego na pewno nie wiemy, i chyba się już nigdy nie dowiemy...”

JAN BRZESKI

WIRÓCIŁEM...

„Gazeta Współczesna” 1 marca br. pisała:

„Zawisza Bydgoszcz kaperuje uczniów II klasy Zasadniczej Szkoły Drzewnej w Łomży stypendiami, internatem i... studiami. Zapewnia im to trener oszczepni- ków a jednocześnie Polskiego Związku Lekkiej Atletyki pan Patella. Podkijał w nowi Markowi Mazurowi trochę piśma o zwolnieniu. Napisał więc: „Myślę, że MKS Zorza w trosce o dalszy rozwój sportu przychylili się do mojej prośby”.

No i w połowie stycznia niespełna 17-letni Marek Ma- zur, młody, dobrze zapowia- dający się oszczepnik, meda- lista... XIII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży repre- zentujący barwy Zorzy Łom- ży w trakcie roku szkolnego wyjechał do Bydgoszczy. Po zamieszaniu tam również u- częszczał do Zasadniczej Szko- ly Drzewnej i trenował w Za- wisy.

—Ojciec Marka:

Długo Marek przekonywał mnie o słuszności wyjazdu do Bydgoszczy. Mówił, że będzie miał znacznie lepsze warunki niż w Łomży, że będzie się rozwijał i uczył. Pojechałam tam. Obejrzałam internat, o- biekt sportowy, rozmawiałem z trenerem. Wydawało się, że syn, być może, będzie miał le- piej niż tu. Zgodziłem się więc na jego wyjazd. Popa- ru mieszkających w tym mie- scie na wywiadówkę do szkoły i tutaj spotkał mnie szok. Okaza- ło się, że Marek w ogóle nie przyszedł do szkoły. Dlaczego? W szkole nie na- temat nie mogli mi powie- dzieć. Marek zaś wyjaśnił: Większość kolegów z internatu sportowego nie chodzi do szkoły. Dlaczego ja miałabym czas marnować?

Przeraził mnie pogląd do- trenera Patellki, a ten mi na- to: Ja odpowiadam za wyni- ki sportowe i nie więcej nie wiem.

O nie! Powiedziałam sobie, tak nie będzie, i zabrałam Ma- rka z powrotem do Łomży. Ponownie zaczął uczyć się w Zespole Szkół Drzewnych, a w przyjeździe pomagał Zo- rza, której barw przedtem bronił.

2 czerwca Marek wyjechał z reprezentacją Polski na Gimnazjum do Francji. Zau- muję czwarte miejsce w zru- mie oszczepem. Wracę do kra- ju.

19 czerwca wyjechał do RFN, gdzie broni barw Pol- ski w trójce lekkoatlety- cznym juniorów Polska — Australia — RFN w Badli- chenach. Przebywał w RFN trzy dni i zostaje...

Marek:

Do kraju miałem powrócić z Monachium pociągiem. Ca-



W dokumencie tym, wystawionym w Monachium stwierdza się m. in., że jego właściciel nie ma prawa opuszczać niemieckiego terytorium.

Repr. Z. LENKIEWICZ

coś smakowitego, a garnki na- pycie bliższe jak lustra. Jest już rok 1929 i kroni- karz odnotował pierwsze ob- jawy kryzysu. Szkoła apeluje o zbieranie odzieży dla bied- niejszych uczniów. Szkoła „doktorka” to nikt inny, tylko znana ze swej społecznej działalności pani Irena Biał- łożyna. Ona to organizuje w szkole dotrywanie, a wkłajo- ne na karty kroniki adre- sy

szkolnym 1930/31 powstaje w szkole koło LOPP, ale waż- niejszą wiadomością jest przy- dzielenie działek wszystkim szkołom na terenach w Zwi- eżycu. Od tego czasu mło- dzież będzie tam uprawiać warzywa, na stopnie oczywi- ście. W tym samym roku kro- nikarz zanotował, że „pani Zofia Białłożyna opuściła na- szą szkołę z powodu zamę- dlenia, na jej miejsce przy-

zycie — nauka, praca, trochę rozrywk.

Dnia 22 marca 1936 rok w szkole powołanej na „wielkie święto — uroczysty poświęcenie Szkoła. Przez wiele lat kierowni- czką szkoły jest pani Jadw- ga Mościwicka, a szkołę ze swoimi wynikami znajdu- ją się w czołowie. Uczą się tam jak zresztą i w innych szko- łach, dzieci różnych wyzna- — katolickie, prawosławne, mojżeszowe i ewange- lickie. Uczą się i przyjaźnią ze sobą. Na ostatniej karcie kroniki — rok szkolny 1938/39 — jest zapis o tym, jak mło- dzież odwiedza chorych żoł- nierzy w białostockim garni- zie, nosi im drobne upomni- ni i kwiaty. Zdobnie chorzy zwyczajnie, nie od ran fron- towych, a zdrowe zwiasta- jący wakacje brzmiały jęsz- cze radośnie. Ale jest to już dwo- nek ostatni, który umiłka na- długo. Tak się kończy kronika z lat 1921—1939.

Pierwszy zapis kroniki, która zaczyna się w roku szkolnym 1924/25 brzmi: „15 sierpnia 1924 roku Województwo Wydział O- czekujący przy Wydziale Po- litycznym Komitetu Wyższego Narodowego powierzył kate- dromistrzowi Szkoły Podstawa- wej nr 5 — Janowi Dubiniń- skiemu”. — A tak naprawdę

WSPOMNIENIA DOROSŁEGO ŻYCIA

Wiedząc z doświadczenia, że w czasie wojny gine- lny wszelkie dokumen- ty, nie liczyłam na wiele. Chyba tylko na wspomnienie jakichś ważnych faktów, a któ- rych można było historyę szkoły. Właśnie gdy pani Wara- komka położyła przede mną kronikę, pisaną rok po roku, z zachowaniem wydatków nie tylko najważniejszych, nie mogłam wyjść z podziwu, że kronika ta szczęśliwym zra- dzeniem losu dotrwała do dnia dzisiejszego.

Pierwsza strona kroniki no- si datę „Rok szkolny 1921/22”. Pismo staranne, choć atrament już wyblakł, zdjęcia pierw- szych uczniów — w klasie, na wycieczce, podczas zajęć prak- tycznych, na imprezach. Wiele jest pierwszych skronek kroni- karz zanotował „20 września 1921 roku powstała jako 7-klasowa, Szkoła Rzemiosła o 4 klasach zasadniczej i jed- nej równoległej. Uczniów 182 w tym 78 dziewcząt i 104 chłopców. Z powodu braku specjalnego budynku nauka

jest udzielana po południu w lokalu szkoły nr 1. Personel szkoły składa się z pięciu sił — p. Jadwiga Mościwicka — prowadzi pierwszą klasę, p. Józefa Licznarowska — drugą, p. Janina Rybkówna — trzecią, p. Maria Pudłowska — czwartą, p. Janina Rusiecka — piątą.”

Szkoła mieści się przy ul. Sienkiewicza i w następnym roku uczniów jest już 260. Wciąż, jako subiektywne szra- dzeniem losu dotrwała do dnia dzisiejszego.

A życie się toczy. Zbierają się rodzice na zebraniach, po- rusza się sprawy zachowania uczniów na ulicy, radzi się jak odwieść uczniów od czy- tania niepożądanych dla mło- dzieży książek. Dać o este- tyczny wygląd. Każde opisa- ny nowy rok szkolny rozpoczyna się wykładem nauczycie- li i wciąż jest ich więcej. O- prócz nauczycieli są także tzw. „sily pomocnicze”. Wreszcie rok 1925 i szkła nr 5 zostaje przeniesiona do budynku przy ul. Pałacowej 3, gdzie prze- trwa lata całe, aż do roku 1969. Ulica będzie zmieniała nazwę z Pałacowej na Żwirki i Wigury, ze Żwirki i Wigury na Marchlewskiego, ale każdy do szkoły nr 5 trafił.

W 1-onice pojawiają się zdjęcia. Pierwsze — z nauki gospodarstwa domowego, któ- re prowadzono w Szkole Prze- mysłowej. Dziewczęta w bia- łych przepaskach na głowach, białych fartuszkach, zawzięcie mieszają w miskach chyba

ukazuje dzieci z kubkami mle- ka i pajdami chleba. Dzieci w białych przepaskach i fartuszkach (chyba do fotografii) uśmiechnięte, bo co im tam kryzys jakiś... i tak niewiele z tego rozumiemy. Długo opi- sów z obchodów ważnych świąt, państwowych rocznic, wydarzeń. Oto do Białegost- ku przyjeżdża 19 września 1929 roku prezydent Ignacy Mościcki i dzieci mają wziąć udział w powitanu. W roku

była p. Walentyna Lewittowa- na. Na następnych kartach, że „odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę prezydent-owej Michaliny Mościwickiej”. Dużo zdjęć uczniów różnych klas, z wycieczek do Krako- wa, Zakopanego, pobliskich lasów, w ławkach i na przed- stawieniach. Na jednym z nich — zespół mandolinistów, inne — dzieci pobierające za kwiaty, dzieci ze św. Mi- kołajem. Normalne szkolne



Ciąg dalszy ze str. 4

Kiedy było już tak beznadziejnie, że nie wiedzieliśmy co dalej ze sobą zrobić, kiedy przestaliśmy nawet ze sobą rozmawiać, chyba Jacek powiedział: spróbujmy pójść do polskiego kościoła, może tam spotkamy kogoś z żydowskich rodaków, który powie co mamy robić, jak stąd wyjechać. Spotkaliśmy tam Polaka mieszkającego stale w Monachium i on poradził nam, abymy zadzwonili do polskiej Ambasady w Kolonii. Podał nawet numer. Tak też zrobiliśmy. Jakis pracownik powiedział: jak najszybciej przyjeżdżajcie. Za otrzymane pieniądze kupiliśmy z Jackiem bilety i z duszą na ramieniu, bo przecież nie wolno było opuszczać Monachium, pojechalismy pociągami do Kolonii. Darek i Tomek bali się opuścić Monachium. Nam się udało. Nikt nas nie skontrolował. W Kolonii przyjął nas pracownik polskiej Ambasady. Opowiedzieliśmy mu całą historię. Kupił nam bilety do Frankfurtu nad Menem, wsiadli do samolotu, potem przesiadaliśmy się na samolot „LOT”-u — lecący do Warszawy.

I w ten sposób zakończyła się nasza „sportowa” epopeja.

Ojciec Marka:

Kiedy dowiedziałem się, że ekipa młodych lekkoatletów wróciła z RFN, a Marek nie pojawił się w domu, natychmiast pojechałem do Warszawy. W PZLA rozmawiałem z kierownikiem ekipy: Co się dzieje? Gdzie jest Marek? Ludzie z PZLA rozkładali tylko ręce, jakby nie pojmowali. Powiedzieli, że został. Nie wiedzieli kiedy odłączył się od grupy, podobno z kolegami i z jakimś mężczyzną. Żona odchodziła od zmyśłów, przez prawie trzy miesiące nie było żadnej wiadomości od syna. Można sobie wyobrazić cośmy przeżyli! Aż wreszcie w czwartek przyszedł list i w środku tylko zdjecie Marka z trzema kolegami; w ładnych dresach, uśmiechnięci. Ucieszyliśmy się, że żyje. I... następnego dnia w drzwiach stanął Marek. Znał o mal nie zemlała a on tylko powiedział jedno słowo: Wróciłem!

Teraz mam rachunek do zapłaty wystawiony przez Ambasadę w Kolonii na sumę 70 tys. złotych za przelot samolotem do kraju.

Henryk Zieliński (dyrektor Zespołu Szkół Drzewnych):

Wyszedłem z gabinetu na korytarz i zobaczyłem w otoczeniu kolegów Marka. Wyglądał mizernie, zupełnie nie ten chłopak. Panie dyrektorze — zwrócił się do mnie — potknąłem się, ale dalej chcę się uczyć w tej szkole, nadrobię straty. I co miałem zrobić? Skreślić go? Słuchałem przez moment, co opowiadał kolegom o swoim pobycie w RFN. Jeśli mu uwierzyli to była najlepsza lekcja wychowawcza.

Marek uczy się i pewnie chyba już coś zrozumiał i jakby spoważniał. Chce dalej trenować, choć jest zawieszony w prawach zawodnika. Czy coś z tego wyniesie, jakas naukę? Czas pokaże. Najważniejsze, że miał dokąd wrócić!

LESZEK TARASIEWICZ

był tylko ten sam budynek. Nie było w nim ani jednej całej szyby, ani drzwi, które by się normalnie otwierały, ani ławek, ani tablic, może został gdzieś w woźnego dzwonek. Już 21 sierpnia rozpoczęło się, isy do szkoły, a rodzice zabrali się za porządkowanie budynku.

Na pierwszy dzień nauki, 21 września, dzieci przyniosły do domu krzeszaka. I wiemy, nie tylko zresztą z kroniki, że mimo wszelkich trudności i niewygód wrzuciła praca w polskiej szkole, pod kierownictwem polskich nauczycieli w przyspieszonym tempie. Mimo braku podręczników i zeszytów. Dzieci tak jak w ostatnim przedwojennym roku, tak i w pierwszym po wzwoleniu, odpowiadały żołnierscy. Rannych, bo dookoła trwały walki. Na Gwiazdkę wysyłały na front paczki, drobne upominki, a do szpitali kase, ciepłą bieliznę, pościel. Jest 17.11.1945 r. — wyzwoleń Warszawie i udział uczniów w manifestacji na Ryńku Kościuski. Potem nadchodzi 9 Maja. W tym wielkim dniu nie ma zajęć w szkołach. Jest ogólne świętowanie. Kierownik szkoły, p. Jan Dubinin jest na urlopie zdrowotnym, a kierownictwo szkoły obejmuje p. Józefa Wawrzykówna. Zbiera się księżki do szkolnej biblioteki, komputery meble. W roku 1946 szkoła nr 5 odzyskuje swój Stander, który przez całą wojnę przechowywał ktoś, aż w Grudniu Każdego roku odnotowuje się nazwiska przy-

O cnotach i wadach, cwanakach socjalnych i etyce zawodowej, z zastępcą szefa WUSW w Łomży do spraw polityczno - wychowawczych — ppłk. MIECZYSLAWEM MASŁANYM, rozmawia dziennikarz „GW”.

Red.: — Kolejna rocznica powstania MO i SB skłaniałaby raczej do rozmowy nie dotykającej spraw drażliwych. Proponuję jednak odnieść do tego schematu w kierunku etyki zawodowej funkcjonariuszy.

— Zawód milicjanta jest służbą i już z jej istoty, a także warunków społeczno-politycznych, pracujemy przy otwartej kurtynie. Oznacza to mówienie nie tylko o sprawach, do których zostaliśmy powołani, czyli zapobieganiu i zwalczaniu przestępstw, ale także dzielenie się ze społeczeństwem naszymi problemami kadrowymi, moralnymi i etycznymi. Nie tylko sukcesami, ale i kłopotami.

Red.: — Zgodzi się pan, że milicja, obok służby zdrowia, handlu i administracji, znajduje się pod szczególnym „obstrzałem” opinii społecznej. Z tym, że o ile lekarzy i urzędników się krytykuje, o tyle milicji się raczej nie lubi.

— Ten stosunek określiłbym jako nienchę. Mimo generalnie pozytywnej oceny działań i nieodwrotnej roli milicji, czyli policji we współczesnych społeczeństwach. Ma to różne podłoża, w przypadku naszego kraju także historyczne, i takie nastawienie spotyka się na całym świecie. Przy czym z rezultaty wynika ono nie z wrogości, ale z samej natury ludzkiej. Co nie przeszkadza, że gdy trwoga...

Red.: — ... to do milicjanta.

— I wówczas ocena jest diametralnie inna. Na co dzień niechętni do współpracy i pomocy ludzi, w sytuacjach drastycznych, w sytuacjach zagrożenia dobra czy życia, stają ramie w ramie z milicjantami. Dostarczają im niezbędność. A lubić nie potrzebują.

Ciąg dalszy ze str. 3

tów, prokuratur, spółdzielni i wszystkich świętych legły w archiwalnej, pekającej teście. Pomogli dopiero żywiol.

19 marca 1985 roku za szybko zaczął topnieć śnieg, który sypnął po sąsiedztwo, aż wreszcie spłynął na pana Czesławową chałupę. Godzina była zupełnie nieistotowa, dokładnie 6.30, i nerwy stały odpowiednio napięte.

„Poszła ta woda na dom. Dywan zamókł, strop się chybnął, belka wspierała się na szafie. Chałupa się rozlała i ja się strasznie wtedy rozchodziłem po różnych takich, którzy uważali, że jak się w chlewku urodziłem, to i zemrzeć w nim muszę”.

Napisał raz jeszcze: „Z sąsiednich ogrodów wdarła się do wnętrza woda. Podmyła podwaliny i całą podłogę. Osunęła się ściana szczytowa i dom wszedł do ziemi. Dlatego blagam o ratunek; bądźcie ludźmi, wczujcie się w katolikizm nie z mojej winy, przecież to żywiol! Powinności spowodować komisję gdyż nie stać mnie na opłatę rzeczoznawcy 15 tys. zł ponieważ ja dostaję emeryturę na dwie osoby 9810 zł. Blagam was o pomoc”.

Komisja przyczyłapała, zlustrowała nieszczęście, ochrzą-

chodzących do pracy i odchodzących nauczycieli. W 1949 roku kierownikiem zostaje p. Wincenty Pawłowski. Przez całe 20 lat był dobrym duchem tej szkoły. Trochę się o wszystkim — o wysoki poziom nauczania, o wychowanie młodzieży opuszczającej szkolne mury, o porządek i względne wygody w starym przecież i coraz bardziej ciasnym budynku gdzie z trudnością można już było pomieścić wszystkie dzieci.

— W roku 1989, gdy wybudowano nową szkołę przy ul. Kamiennej pan Pawłowski oddał na emeryturę. Miałam szczęście do dobrych kierowników. Obecny dyrektor Józef Szatkowski włożył wiele pracy, by ten nowy budynek i boiska były okazale, wygodne, urządzone nie tylko na dziś, ale żeby starczyły na długie lata, wciąż nowym pokoleniom. No i żeby stare dobre tradycje i chwała Szkoły nr 5 z ulicy Pałacowej, przetrwały.

Ani apostołowie, ani automaty

Red.: — Sądzę jednak, że na stosunek do milicji rzutuje także postawa funkcjonariuszy.

— Oczywiście. Funkcjonariusze są czasami niewyrozumiali, mylą się w ocenie sytuacji, nie prezentują właściwej kultury bycia, w sytuacjach konfliktowych dają ponieść się emocjom. Są przeciwko ludziom.

Red.: — Ale w mundurach...

— Otóż to. Z Księzycy oni jednak nie spadają. Przychochą do nas z różnych środowisk: więcej lub mniej religijnych, więcej lub mniej tolerancyjnych. Przychochą już ukształtowani przez rodzinę, szkołę, otoczenie, z różnymi nawykami środowiskowymi. I chociaż wymogi służby narzucają im określone wzorce postępowania i zachowania, nie są zaprogramowanymi automatami.

Ale proszę zwrócić uwagę na jeden fakt. Obywatele spotykają się z dwójkami postawami funkcjonariuszy, określimy je skróto jako uprzejme lub aroganckie. I jaka z nich jest wypuklona? Głównie ta ostatnia. I dotyczy to wszystkich antagonizujących cech funkcjonariuszy. Czynną to świadomie nasi przeciwnicy polityczni, a z powodu zwykłej nieniechę — inni.

Ze swej strony staramy się zmieniać te odczucia poprzez kształtowanie właściwych postaw funkcjonariuszy. Wyrazem tego są wydane w tym roku i obowiązujące od 1 lipca „Zasady etyki i obyczajów funkcjonariuszy SB i MO”. Pozwalają one szerzej spojrzeć na moralny sens naszej służby i określają metody postępowania milicjantów.

Nie znaczą to, oczywiście, że dotychczas nie kierowaliśmy się takimi zasadami, ale czyniliśmy to w oparciu o nasze

sumienie, wyczucie sytuacji. Teraz istnieje klarowny odnośnik oceny zachowania się funkcjonariusza.

Wyrazem dbałości o morale jest też powołanie w r. 1981 służby polityczno-wychowawczej na wszystkich szczeblach, z ministerstwem włącznie.

Red.: — Metody pracy nie są chyba objęte tajemnicą służbową.

— Zasadnicze zadania milicji to zapobieganie, wykrywanie i ściganie przestępstw. Są to zadania ważne i pracochłonne. Milicja jest rozliczana z efektów swego działania. Stąd też, przy braku kadry i dużym stopniu trudności w zwalczaniu przestępczości, Ilczy się głównie cel. Może nie do końca, ale do tej sytuacji przystaje powiedzenie: cel uświęca środki.

Tymczasem służba polityczno-wychowawcza nie odpowiada za wykrycie sprawców przestępstw, lecz właśnie za etyczne, zgodne z naszą praworządnością i ogólnie przyjętymi normami moralnymi postępowania funkcjonariuszy. Krótko — za jakość stosowanych środków i metod, zwłaszcza odnoszących się bezpośrednio do obywatela. Jest to o tyle istotne, że — jak w każdym zawodzie — również na psychice milicjanta odciśnięta jest pieczęć zawodowa, w tym przypadku wynikająca ze stałego kontaktu z marginesem społecznym. Obserwujemy więc działania funkcjonariuszy, ich zachowanie i postawę, i reagujemy w przypadku każdej dewiacji.

Red.: — Rozpatrując zatem skargi na milicjantów.

— Czyni to specjalny referat, natomiast my badamy to, genezę tej skargi. Dociekamy na ile funkcjonariusz przyczynił się do jej powstania. I to niezależnie od zasadno-

ści tej skargi, od racji skarżącego się. Zawsze więc przeprowadzamy z takim funkcjonariuszem rozmowę. Przy okazji sami się uczymy, jako że życie niesie ze sobą sytuacje często niespotykane, a milicjant powinien umieć zachować się w każdej z nich. Prowadzimy też szkolenia polityczno-wychowawcze, podczas których omawiamy przypadki błędnych i właściwych postaw. Zwalczamy — nawyki. Często bowiem obywatel ma pretensje nie np. za ukaranie mandatem, ale za sam sposób jego podania. Funkcjonariusz tłumaczy, że czyni tak od dziesięciu lat i było zawsze w porządku. Może, ale czasy się zmieniają, wymogi rosną i musi się do nich dostosować. Tłumaczymy, że na uprzejmości nikt nie traci.

Red.: — Więcej mandatów uśmiechem.

— Często lepszy skutek uzyskuje się przez pouczenie z uśmiechem.

Red.: — Wrocnym do skarg. Pokutuje opinia, że skarga na milicjanta i tak nie pomoże, a może tylko przynieść szkodę skarżącemu.

— Przepraszam za sformułowanie, ale jest to wierutna bzdura. Już z tego co powiedziane wynika, że do skarg przykładamy szczególną uwagę, rozpatrujemy je dokładnie i wielotorowo. A przede wszystkim pod kątem praworządności.

W każdym naszym posterunku widziane anons o przyjęciu w sprawie skarg i wniosków przez szefa wojewódzkiego i rejonowych. Jeżeli obywatel uważa, że nie zajęliśmy się jego sprawą właściwie, że został skrzywdzony, może odwołać się. Przecież każde ludzkie działanie niesie z sobą możliwość błędu. I jeżeli taki popełnia, nie wstydzimy się przepraszyć. Wszyscy uczymy się na błędach.

Red.: — Czy jednak w sytuacji konfliktowej między obywatelami i milicjantem, bez świadków, ten pierwszy nie stoi na straconej pozycji?

— Funkcjonariusz nie działa według własnego widzimisię, lecz w oparciu o przepisy prawa. Sporządza ze zdarzenia dokument, który jest pieczęcią sprawozdania i a naliczany przez przełożonych i musi być przez nich akceptowany. Z reguły obywatel w



takich sytuacjach nie jest poślagny do odpowiedzialności, nawet za obrazę milicjanta, chyba że jest to osoba znana z łamania prawa. Milicjantom tłumaczymy, by nie byli tacy honorowi i delikwenci, wykonują przeciwko określonej służbie, której metody działania nie są popularne, a sytuacja konfliktowa jest codziennością.

Red.: — Mając do dyspozycji środki przymusu i kary, milicjant często musi być, i jest, zarazem prokuratorem, sędzią i egzekutorem. Ta kumulacja może prowadzić do nadużywania uprawnień.

— Takie przypadki, chociaż incydentalnie, także odnotowujemy, ale też natychmiast wyciągamy surowe konsekwencje. Trzeba przyznać, że zwłaszcza pod koniec lat siedemdziesiątych mieliśmy do czynienia z napięciem — naszymi ich tak — socjalnych cwaników. Kalkulowali bardzo prosto: w milicji łatwiej było o mieszkanie, studia, a przy okazji można uszczknąć coś na boku.

Z takimi twardo się rozliczamy, i jeżeli jeszcze są, to głęboko zakamuflowani. Wstarczy powiedzieć, że w ciągu roku opuszcza nasze szeregi, z różnych względów, ale głównie wymogów służby, 4-5

proc. ogółu zatrudnionych w jednostce wojewódzkiej.

Zresztą już same rygory przy przyjęciu stanowią sito o drobnych oczkach. Wymagany jest skrytykowany pogląd na panujący porządek prawny, wiek do 35 lat, bardzo dobry stan zdrowia, niekwalifikująca opinia — nie tylko kandydata, ale także jego rodziny, wreszcie co najmniej średnie wykształcenie i pre-dispozycje społeczne.

Te wymogi służby powodują zresztą spore braki kadrowe, zwłaszcza wśród dzielnicowych, służb patrolowych i referatów operacyjno-dochodzeniowych.

Red.: — Czego więc należałoby życzyć z okazji święta milicji?

— Na pewno nie tego, aby służyli w niej sami apostołowie z żelaznymi nerwami, bez nalogów, pełni odpowiedzialności i superkultur. Gdy jest to niemożliwe. Ale sądzę, że możliwa jest większa doza uprzejmości, kultury, zrozumienia i zaufania. Obopólna — tak ze strony funkcjonariuszy, jak i obywateli.

Red.: — Zatem enót tych życzyć.

Rozmawiał:

JERZY BRODZIUŁ

Zdjęciami ze służby białostockiej MO opatrzył

ANATOL CHOMICZ



Ciąg dalszy ze str. 3

nia gospodarza, że chałupa nie zabezpieczył. Chlewik uznano za stracony. W pół roku po 28 latach oczekiwania pan Czesław dostał mieszkanie w bloku. Zaczęła się nowa kolumbia. Władza hulała na tę chałupę, że czas ją unicestwić, bo plany nie przewidują

pan, byliśmy trochę inaczej wychowani, niż dzisiejsza młodzież. Nie mogłem powiedzieć: „mam, przepisz na kogoś”. Wyglądałoby, że czekam na jej śmierć.

— Dzięki tej subtelności, budynek już 14 lat jest bezpański.

Jak się władza na chlewik zawzięła

takiej ruiny w centralnym punkcie osiedla.

Po czwartek: ZAWALIDROGA

Zburzyliby to chałupę, choćby dla świętego spokoju, ale nie może, bo nie jest jego własnością.

— Czyja więc?

— Mamusi i tatusia. Wie

— W pewnym sensie. Należymy 11 kandydatów do spadku. Każdemu przypadnie po kilka desek. Jak się znajduje ostatni, który mieszka na Litwie, w sądzie okazało się komu wciąż ten pasztec.

Nie trzeba być geniuszem, żeby przewidzieć, że rodzina nie będzie pchała się do schedy. Dotąd nikt zresztą nie

— Potem w późniejszych latach — mówi — starałam się tak samo serdecznie odnosić się do młodych nauczycielek przychodzących do naszej szkoły. To co otrzymałam w darze od starszych koleżanek, przekazywałam dalej, tak jakbym spłacała swój dług.

Zresztą dobrą atmosferę w szkole kształtował też kierownik pan Wincenty Pawłowski. Przez całe 20 lat był dobrym duchem tej szkoły. Trochę się o wszystkim — o wysoki poziom nauczania, o wychowanie młodzieży opuszczającej szkolne mury, o porządek i względne wygody w starym przecież i coraz bardziej ciasnym budynku gdzie z trudnością można już było pomieścić wszystkie dzieci.

— W roku 1989, gdy wybudowano nową szkołę przy ul. Kamiennej pan Pawłowski oddał na emeryturę. Miałam szczęście do dobrych kierowników. Obecny dyrektor Józef Szatkowski włożył wiele pracy, by ten nowy budynek i boiska były okazale, wygodne, urządzone nie tylko na dziś, ale żeby starczyły na długie lata, wciąż nowym pokoleniom. No i żeby stare dobre tradycje i chwała Szkoły nr 5 z ulicy Pałacowej, przetrwały.

zaczował chlewikowej tortury. Aktualna postać warteść z 1925 roku sięgająca 150 złotych. Może zresztą ciut więcej, bo złotówka jakby nie ta sama, co kiedyś.

W każdym razie nie bardzo jest co dzielić poza bledą. Wybraniec losu i rodziny może liczyć w spadku na następujące atrakcje: spłata pozostałych zainteresowanych, własnoręczna rozbiórka chałupy, uprzątnięcie placu i na inne, drobniejsze przyjemności.

Po piątku: MONUMENT

Przyszłość majątku Borowskich ma być za sprawą urbanistów dość obiecująca. Przez chlewik i sad przejdzie być może ulica Chrobrego albo stanie tu jakieś blokowisko.

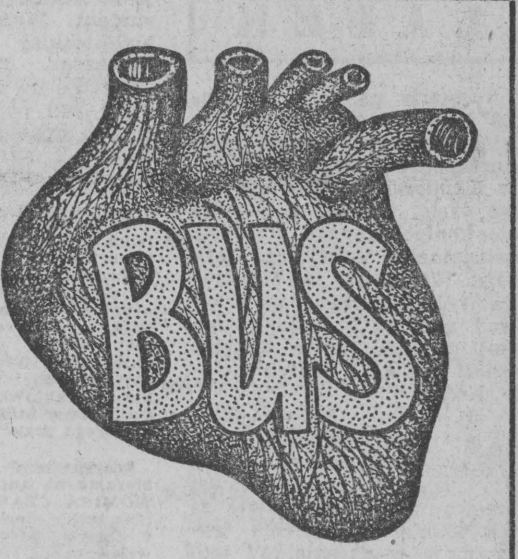
Władza pali się do rozbiórki, kandydaci do spadku — mniej. W Białymstoku nie ma mównych, więc sprawę przekazało do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Czekamy na Salomona, który zmusi Czesława Borowskiego do zburzenia nie swojego domu.

Archaeiczny chlewik przekształca się w monument. Miejsce ma wymarzone: Osiedle Piasta na trasie Chrobrego.

ANDRZEJ POLAKOWSKI

BIAŁOSTOCKI UNIWERSYTET SERCA

Gdy są przed tabletką leki lek przykleił masz do ręki



W ostatnich wykładach poszerzyliśmy naszą wiedzę o lekach w organizmie. Już wiemy, że niezależnie od tego czy chory sążył lek doustnie, czy też otrzyma go we wstrzyknięciu, jego cząsteczki dostają się do krwi, która rozprowadza je

Czy pani ma komórki... (zdrowe)?

do wszystkich (lub niemal wszystkich) narządów, a wśród nich także do narządu, który lekarz chce leczyć. Wspomnijmy, że są i inne sposoby wniskania cząsteczek leku do krwi; można na przykład niektóre z nich wprowadzić do ustroju wraz z wdychanym powietrzem wdmuchując do gardła (tzw. aerosol, czyli mgiełkę pewnych cieczy, w których zawarte są cząsteczki leku. Pewne substancje lecznicze doskonale i szybko wnikają do krwi z błon śluzowych jamy ustnej; tak się dzieje na przykład ze znaną szlachetną nitrogliceryną. Niektóre leki można podawać chorem w postaci czopków doodbytniczych.

W ostatnich kilku latach zaczyna znajdować uznanie tzw. przeszczepny sposób aplikowania pewnych leków; są już ogłoszone pierwsze wyniki leczenia łagodnego nadciśnienia lekiem (Klonidyna), który wytwórca umieszcza na plasterku pokrytym specjalnym żelem. Plasterki o powierzchni mniej więcej takiej, jaką ma zegarek kieszonkowy, chory przykleja sobie do skóry ramienia np. w sobotę wieczorem; substancja czynna — obniżająca ciśnienie wchłania się przez skórę do naczyń krwionośnych równomiernie w ciągu siedmiu dni; do następnej soboty, kiedy chory powinien wymienić plasterka na nowy.

Ponieważ znamy już docieklwość naszych studentów wypredziłam ich pytania i wyjaśnijmy od razu dwie sprawy: po pierwsze chory z „plasterkiem” może się kąpać lub brać prysznic, ów plasterki jest uodporniony na tego rodzaju zabiegi higieniczne. Po drugie: plasterki produkują (jeszcze w etapie wstępnych badań) amerykańska filia pewnej firmy zachodniomiejskiej; ta postać leku przeciwnadciśnieniowego nie została dotychczas dopuszczona do szerokiego użytku; być może nastąpi to za kilka lat.

Przypomnijmy raz jeszcze zasadę: niezależnie od sposobu podania lek musi dotrzeć do krwi i dopiero za jej pośrednictwem może dotrzeć do narządów. Są wyjątki dotyczące niektórych leków stosowanych np. w chorobach skóry, oczu, uszu i przewodu pokarmowego, lecz zaniechamy ich omawiania.

Współczesna wiedza o lekach jest znacznie szersza. Praktycznie biorąc, wiemy o każdym leku nie tylko, w jakim stopniu i jak szybko przedostaje się on do krwi, ja-

kie jest jego skuteczne stężenie we krwi, jakim ulega przemianom w wątrobie i nerkach, które i w jakiej części wydala go organizm na zewnątrz. Mamy także informacje o sposobie działania takiego leku na komórki chorego narządu. Okazuje się, że jest bardzo dużo takich mechanizmów „naprawczych” i nie możemy sobie pozwolić na wyjaśnienie ich wszystkich w naszych wykładach. Wytworzyły się rozległe gałęzie wiedzy, które zajmują się tymi zagadnieniami (np. farmakologia kliniczna, farmakodynamika). Możemy jednak zapewnić studentów, że jak również pacjentów, którzy przeczytają ten wykład, że wiemy: niemal o każdym leku działającym na leczy. W odniesieniu do terapii nadciśnienia mamy tego rodzaju wiedzę o wszystkich, bez wyjątku stosowanych lekach.

Abyśmy nie byli gołosłowni w naszym zapewnieniu, przytoczymy nieco informacji na ten temat.

Musimy jednak, by ta część wykładu była zrozumiała, przypomnieć słuchaczom wstępnie niektóre wiadomości z biologii komórki zwierzęcej.

Komórki naszego organizmu mają różne kształty w zależności od narządu, w którego skład wchodzi i zadań jakie wykonują. Ich wymiary wahają się od kilku do kilkudziesięciu mikronów (1 mikron to jedna tysięczna milimetra). Każda komórka jest otoczona błoną komórkową. Wewnątrz znajduje się galaretowata protoplazma, stanowiąca środowisko znanych czytelnikom elementów, np. jąder, mitochondriów, lizozomów i innych, które spełniają określone zadania: na przykład komórki mięśni zawierają kurczliwe włókna białkowe, a komórki gruczołowe wydzielnicze — zorganizowane struktury (tę z białek) pełniące rolę warsztatu produkujących hormony oraz systemy transportowe, za pomocą których hormony mogą być odprowadzone do krwi. Te, przedstawione w bardzo uproszczonym sposobie elementy składowe komórki mają dość skomplikowaną lecz dobrze poznana budowę. Gdyby przybys z zaświatów oglądał za stratosfery fabrykę samochodów, zobaczyłby kompleks budynków, dojeżdżające do niej pojazdy ze stałą, drewnem, różnymi tworzywami itd. i wreszcie wyjeżdżające gotowe samochody. Na to, by poznać sposób produkcji, potrzebne by mu było przyznanie się z bliska każdej hali fabrycznej. W następnym wykładzie „podpatrzmy” z bliska niektóre szczegóły budowy i pracy żywej komórki.

A.K.

Teatr Dramatyczny

Nastroje i klimaty

Ostatni gong i kurtyna wolno idzie w górę. Zanim zupełnie odsoni się wnętrze, reflektory wypukają dwa scenograficzno-architektoniczne elementy. Urastają one do rangi symbolu — myśli przewodniej. A potem w mgnieniu oka znikają, i ukazują się za to zwyczajny ziemski dom — dwór z „Wujaszka Wani”. Stół nakryty do herbaty, kłapiący samowar. W głębi w dalszej perspektywie — zielony las (to a propos niewyżytych marzeń lekarza Astrowa i jego fantastycznych planów zalesienia Rosji).

Wbrew oczekiwaniom akt pierwszy nie zaczyna się od słów: „Napój się, panoczku” (chodzi o herbatę oczywiście), lecz od... stawiania baniek starej niani przez wspomnianego Astrowa.

I dalej, w miarę rozwoju akcji, jest już nieco inne, niż tradycyjne, widzenie czechowskiego świata.

Reżyser przedstawienia Elimuntas Nekrošius z Teatru Młodzi w Wilnie (teatru, który obok „wielkiego” nie tylko na Litwie, lecz w całym Związku Radzieckim), a więc ów reżyser zaprezentował nam bardzo osobistą, ale jednocześnie szalenie intelektualną interpretację tematu klasycznej rosyjskiej dramaturgii.

W swoich twórczych poszukiwaniach przypomina — jak się wydaje — jednego z naszych najciekawszych reżyserów — Stanisława Krzysztosa Babickiego, który — że przypomnę — wyreżyserował niezwykle interesujący i nagrodzony „Wielki sen”.

Tu dwójka: Czechow pojawia się ostatnio dość często na polskich scenach, rzadziej w Białymostku, choć i tu przed kilkoma bodaj laty widzieliśmy jego dwie jednoaktówki w reżyserii Ewy Petelskiej.

Ala wracając do „Wujaszka Wani”. Co w nim było szczególnie, co nadało oryginalny i niepowtarzalny charakter?

W wileńskim spektaklu poprzez losy bohaterów Nekro-

sius przedstawił motyw zmarnowanego życia i nieuchronności przemijania. Nie zaważał się przy tym w sposób sugestywny przekazać ważnych i aktualnych prawd z punktu widzenia psychologicznego czy też socjologicznego.

Pokaż w ukryte dramaty ale też ukryte marzenia każdej z tych postaci, zagubionej w swej beznadziei. „Demaskując” na przykład Helenę, a raczej jej skrywane, mroczne pragnienia, używa wieloznaczności, co wygląda jak duży, telewizyjny ekran. Robi to wręcz na widzu — trzeba przynajmniej — i zmusza do refleksji o technice zdolnej do prześwietlania... duszy.

Inny wątek dotyczy spustoszenia czynionego w ustalonej porządku prowincjonalnego domu przez profesora Sieriebiakowa i jego żonę. To iść, pojawienie się jeszcze bardziej posębiającej i nieludzkiej żony Soni, Wojnickiego, Astrowa. Stają się zatem dramaturgicznymi ofiarami, a straszy Wujaszka Wani są o-czywiście chybione. Tak jak jego własne życie. Można to traktować i w innej kategorii. Pojawienie się przybyszów budzi różnie niejakich stałych domowników z letargu. Przebudzić nie miało jednakże określać ich przyszłość tylko do najbliższego jutra. Jutra bez optymistycznej przyszłości.

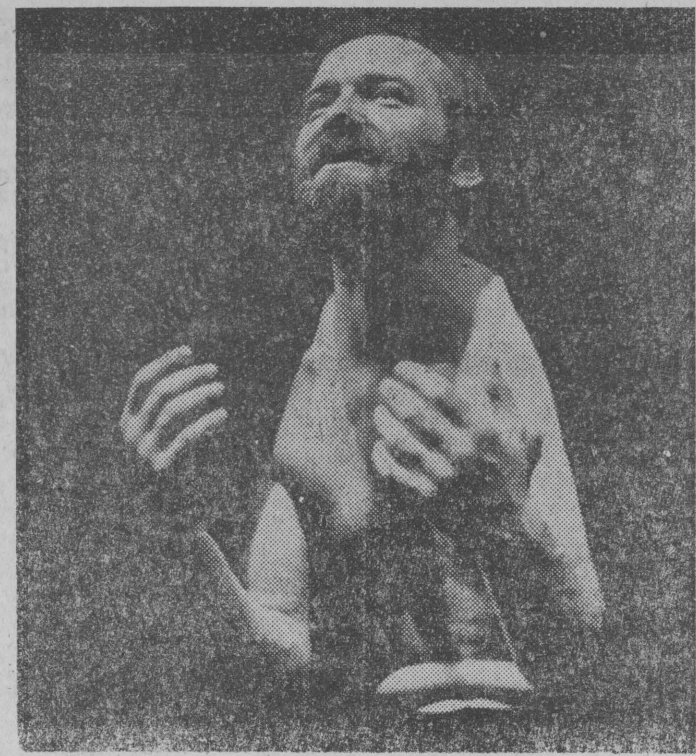
W sztuce dominują nastro-

je i klimaty: wyczerpania, bezsilności, samotności, wewnętrznej pustki, niemożności porozumienia się. Świadomość zmarnowanego życia jest tak oczywista, że jakakolwiek walka staje się nieskuteczna. Ale każda z osób dramatu ma jednakże w tym przedstawieniu swój prywatny, prawdziwy, intymny, nie-tylko monolog. Ujawnia się. Tylko, że reżyser „każe” śledzić te intymności. W te każdej z tych spowiedzi znajduje się bowiem zbyt gorliwy Wafel.

Upadek bohaterów jest bardziej chyba oczywisty dla autora sztuki niż reżysera. Nekrošius chce, by poprzez ten upadek ludzie odnaleźli siebie. Taką właśnie wymowę ma symboliczna scena odsłaniająca nagłego ramienia reżysera Wojnickiego. Tymczasem Astrow odzyna się na zawsze od swych ideałów poprzez wyeliminowanie na użytek sztuki, metamorfozę w dzikie zwierze.

Jest tu także ogromnie wyraźnie ukazany rozpad społecznego świata zwiastująca w scenach, gdy zuchwała służba gorliwie zacierą ślady po upadłych bohaterach.

Czy może być coś optymistycznego w takim przedstawieniu? Otóż tak. Jest to zgodny z intencjami reżysera przyrodzony głos z głębi, który rozbija się na głosy z III aktu opery „Nabucco” Verdiego.



NA ZDJĘCIU: w roli Iwana Wojnickiego (Wujaszka Wani) wystąpił Vidas Petkevicius.

Fot. Stanisława Kairio (Wilno)

Litewskie przedstawienie „Wujaszka Wani” w wykonaniu Teatru Młodzi z Wilna można było oglądać zarówno w Teatrze Dramatycznym w Warszawie jak również w Poznaniu i Krakowie. Wileński teatr przeobraził bowiem w Polsce na występowych gościach i tal tal, że w swej podróży nie zawitał do Białegostoku. Byłaby to dla naszych teatrów ogromna i prawdziwa artystyczna frajda, a dla zespołu Teatru im. A. Węgierki możliwość zapoznania się z osiągnięciami litewskich koleżanów po fachu oraz nawiązania kontaktu na... zysłość.

Wileński teatr przywiózł również do Polski inne przedstawienie tzn. „Pirosmani, Pirosmani” Wadima Korostylewa również w reżyserii Nekrošiusa o genialnym gruzińskim malarzu-samouku Niko Pirosmanaszwili. O przedstawieniu tym pisałem w „GW” 7 lutego 1988 r. w swojej korespondencji z Wilna. Pisałem wówczas również o innym świetnym teatrze litew-

skim. Wspominałem go na wstępie. Chodzi o Teatr Dramatyczny w Kownie, gdzie pracuje niezwykle reżyser — Jonas Vaitkus. Zachęcał mnie, i w tym przypadku, do zainteresowania się tym popularnym zespołem i do zaproszenia go na występ w naszym mieście. Czas upływa, zagraniczne trupy aktorskie przejeżdżają przez kraj, a białostocki teatr w swojej nieustalającej anej sytuacji, nie może ni tylko nabrać rozpędu do twórczych poczyną, ale także do stworzenia dla siebie i widzów możliwości prezentacji zbyt długo oczekiwanego w teatrach. Więcej zatem gorliwość w tworzeniu klimatów i nastrojów właściwych prawdziwej sztuce!

LUDMIŁA CHALECKA-POŁOCKA

Państwowy Teatr Młodzi w Wilnie (LFR), „Wujaszka Wani” Antoniego Czechowa. Reżyseria Elimuntas Nekrošius. Premiera wileńska — marzec 1988 r. Występy gościnne w Polsce (Kraków, Poznań, Warszawa) — październik 1988.

Kultura w terenie

Tutaj znowu jesień. Drzewa żółkną i liście. Panu B. w coraz dłuższe wieczory dokucza nuda i reumatyzm. W „Hajduczku”, jedynej kawiarni w 30-tysięcznym miasteczku, przed południem pusto i zimno. Interes rozkręca się po ostatnim szkolnym dzwonku. Sztruksy, rajfy i welwety lykają bitą pianę i grzeją się herbatą (kawy brak), depczą tam i z powrotem, z przyzwyczajenia.

W jedynym kinie repertuar zmienia się przeważnie co tydzień. Na horrory, filmy karate i erotyczne, bilety idą jak woda, na bardziej ambitne — umiarkowanie.

ULICA PEŁNA PRZEJEDZNYCH. Chłopak w panterkach czubkiem buta powoli wgniata w asfalt niedopalek papierosa:

— Przesadnie ambitny nie jest, ale jakies tam potrzeby ma. Wybór jest niewielki. Knapy. „Podlaska” ma stałą klientelę, słynne meskie dancin’gi z „mocną kawą”. Odpada, nie lubi kawy.

Kiedys chciał grać w kapeli młodzieżowej w miejscowym domu kultury, ale nie miał siły przebić. Instrumenty zagarnęło na długiej kilka osób. Zarabiali nawet dodatkowo ogrywając wiejskie zabawy i wesela. Skąd ma takie informacje? Od kumpła, który bywał i widział. Czy koniecznie musiały być instrumenty domu kultury? Głowy dać nie może, ale co w tym jest, jeżeli ludzie tak gadają.

A jak jest teraz? Nie potrafi powiedzieć. Zraził się i przestał się interesować. Co robi? Nudzi się. Nie cierpi siedzieć w domu, a w „Hajduczku” też nie można spędzić życia. Trochę się uczy, trochę pracuje. A rodzice? Rodzice są zajęci rokiem pieniędzy. W niedziele prawie nie wychodzą z domu.

MEZŻYZYNA ZŁAPANY W BIEGU — wiek średni, wasy, aktówka — nawet kiedy stoi w miejscu, przebiega nogami:

— Na co dzień nawet mu nie przyjdzie do głowy, żeby rozsejść się za możliwością kulturalnego spędzenia czasu. Dom — robota, robota — dom, czasem jakaś książka do poduszki, częściej telewizor, dzieci, odrabianie lekcji, podliczanie budżetu domowego — starczy na kafelek, ale z terakotą trzeba poczekać do następnej pensji. Życie musi mieć jakoś taki poziom, nie? Telewizor? A jakie. Cały Eden — baseny, krokodyla — w kolorach.

WIDEO na połamany krześle

Dom kultury? Jest! (z zapalem). Bywał. Na turnieju zakładów pracy z okazji Dni Bielska, potem jeszcze raz na jakiejś estradzie. Więcej nie pamięta.

PAN B. ZRZUCA KAPCIE

Bielski Dom Kultury ma opinię jednego z najlepiej funkcjonujących ośrodków w województwie białostockim. Placówka przetrwała wycieczkę GIT-u i IRCh-y bez wstrząsów. Inspekcje przestudiowały skrupulatnie wszystkie kroniki, ewidencje, zaprzęły do najmniejszych kątek i odeszły bez „zalet pokontrolnych”. W nagrodę w ubiegłym roku dyrekcja placówki otrzymała 3 miliony złotych, za które natychmiast zakupiono nowy sprzęt muzyczny i nagłaśniający.

Pod kuratelą BDK pracuje ponad 30 różnych typów zespołów i kół zainteresowań. Około 1,5 tysiąca dzieci i młodzieży pod okiem fachowców rozwija swoje zdolności — małe, duże, tańce, śpiewa, gra (w teatrykach i na instrumentach), fotografuje. Miejskie centrum kultury zatrudnia 3 instruktorów na pełnych etatach i 9 na godzinę. Współpracuje ze szkołami, zakładami pracy i przedszkolami.

Utarł się taki zwyczaj, że przed rozpoczęciem roku kulturalnego pracownicy placówki spotykają się z dyrekcją i szkolą — obie strony przedstawiają swoje propozycje i oczekiwania. Zwykle wybiera się od razu nauczyciela, który przyjmie na siebie rolę łącznika z domem kultury.

Kontakty stają się wtedy proste, wręcz przyjacielskie. Bardzo często instruktorzy szkolnych zespołów teatralnych, jeśli u siebie nie mają odpowiednich warunków do pracy, korzystają z pomieszczeń placówki kultury. Natomiast pracownicy ośrodka prowadzą zespoły w kilku szkołach. Nie zawsze wszystko układa się tak idealnie. Są dyktory, z którymi bardzo trudno znaleźć wspólny język.

BDK ma kilka tzw. wizytówek o renomie wybiegającej poza opłotki miasta — „Podlaskie Kukulki” działające już od piętnastu lat przy Zespole Szkół Rolniczych, ale pod kierunkiem artystycznym instruktorów z Domu Kultury, zespół regionalny „Wasilochi” odwołujący się do folkloru białostockiego (pasja życia dyrektora BDK, Sergiusza Łukaszkusa).

Środowisko jest wyjątkowo bogate w talenty artystyczne. Muzyczne predyspozycje młodzieży rozwija miejscowa szkoła muzyczna. Raz w miesiącu do liceów przyjeżdżają z koncertami filharmonicy z Warszawy, natomiast ośrodek kultury zaprasza do siebie uczniów szkół podstawowych na spotkania z instrumentalistami Białostockiej Filharmonii. Placówka kultury posiada dwa pianina (oba sprawne), stół przyjeżdża z Białegostoku i fortepian, który również nie jest tylko atrapą. „Nie stół” natomiast kolorowy telewizor wystawiony w klubo-kawiarni. Bywały oglądają zwykłe czarno-białe programy z wyższej półki. Kolorowy od dawna stoi nie używany, bo w okolicy nie ma fachowców, którzy by potrafili „wystrzelić” obraz.

Pracownie fotograficzną urządzono w piwnicy jednego z bloków Spółdzielni Mieszkaniowej. Kola plastyczne również pracują w pomieszczeniach odstąpionych przez zaprzężone instytucje — jedna zajmuje szkołę komitetu osiedlowego, druga łącznik Szkoły Podstawowej nr 3. Młodzi plastycy, których grafiki można obejrzeć w hallu Domu Kultury, z sukcesami brały udział w wielu konkursach, nie tylko krajowych. Jeden z uczniów w 1984 roku znalazł się w czołówce nagrodzonych na konkursie plastycznym w Finlandii. Chyba żaden festiwal piosenki za-

dzieckiej, nie tylko lokalny, nie obył się bez udziału miejscowych solistów i zespołów wokalnych. Zwycięstwa weszły śpiewającym talentom w nawyk. Z ostatniego krajowego festiwalu w Zielonej Górze tercet z Bielska przywiózł wyróżnienie ZG ZSMP, wcześniej inni ścigali jeszcze wyżej.

Janina Plutowicz — instruktorka BDK, organizuje w mieście życie teatralne. Prowadzi dziecięcy zespół kukielkowy i importuje wszystkie nowości i najciekawsze zjawiska w tej dziedzinie. Do BDK przyjeżdżają raz w miesiącu na cyklowe spotkania teatru profesjonalnego — aktorzy sceny lalkowej i dramatycznej. Często goszczą tutaj również amatorskie grupy teatralne znane z interesujących realizacji — m.in. Teatr „Kłaps” Antoniny Sokolowskiej i Teatr „PRO” Jerzego Siecha. Instruktorka utrzymuje również kontakt z białostockim oddziałem Towarzystwa Kultury Teatralnej, który wysyła w teren aktorów z monodramami.

Odbiorcami tego typu ofert są ludzie „z ulicy” oraz tzw. zorganizowana widownia. Do tej drugiej Górze należą uczniowie miejscowych szkół i wychowankowie przedszkoli.

W pogoni za modą — której nie da się zlekceważyć, jeśli dba się o poszerzenie kręgu odbiorców — wprowadzono projekcje wideo. Co poniedziałek (średnio około sto osób) ogląda horrory, wyczyny karatekistów, filmy sensacyjne i komedie, a najmłodszą widownię zestawia bajek, z nieśmiertelnym Bolkiem i Lolkiem. Repertuar i obsługa seansów, sprowadzane są z Białegostoku. Odbijają się też projekcje filmów innego gatunku prezentowanych w cyklu: „Spotkania ze sztuką”, przy wykorzystaniu starych technik — taśmy i projektorów.

Kilka razy do roku organizowane są również imprezy oficjalne — okolicznościowe akademie przy okazji 1 Maja, 22 Lipca — potęgające spore pieniądze oraz tradycyjne Dni Bielska z turniejami, zawodami sportowymi, występami zespołów awangardowych i folklorystycznych, które niekiedy współfinansują zakłady pracy.

PONAD SIŁY I... ŚRODKI

Zmienna i niepewna sytuacja finansowa wiąże ręce i zmusza do ciągłych korekt plany działalności. Bardzo często pomysły

spisywane są na straty, ponieważ brakuje pieniędzy.

Księgową BDK, Nina Tymosznik nie może mieć złudzeń. Siedzi nad operacją finansową. Nie da się zwieść pozorom. Dotacje na kulturę utrzymują się co prawda na tym samym poziomie (w ubiegłym roku wyniosły 5 mln 400 tys. złotych, w bieżącym — 5 mln 800 tys. zł), ale koszt najdrobniejszej rzeczy rośnie dośownie z godziny na godzinę.

Pobory dla personelu, koszty administracji budynku, działalność merytoryczna — wszystko to opłaca się z jednego worka. Ponad 1,5 mln złotych co roku BDK odprowadza do ZUS-u, ok. 70-80 tys. zł. płaci za ogrzewanie, 14-15 za telefon.

W ubiegłym roku wyklonowało podióg w Domu Kultury kosztowało 500 tys. zł. W tym roku trzeba było odremontować kilka najbardziej zniszczonych pomieszczeń. Sanepid ostrzegł, że jeśli się nie wywiąza, posyła się kary. Miejskowa Spółdzielnia Wytwarzania Usługowa za pomalowanie łazienek, ubikacji i dwu pokoi zażądała 230 tys. złotych. Pozostałe pomieszczenia też przydałoby się odnowić, ale ceny są zbyt sone, dlatego zawsze lata się tylko te największe dziury.

Jak co roku do zakładów pracy rozszalało pisma z prośbą o przeznaczenie pewnej sumy na rzecz kultury miejskiej. Niektóre zakłady ugryzły się i dorzuciły trochę grosza, średnio 5-10 tys. zł.

WYCISNĄĆ Z KULTURY CO SIĘ DA

taką zasadę narzuca dzisiaj życie każdej placówce upowszechniania. Bielski Dom Kultury zarabia pieniądze (w ubiegłym roku około pół miliona) na różne sposoby — np. przez wynajmowanie sali na oficjalne imprezy, występy estradowe, balady sylwestrowe i dyskoteki. Placówka od niedawna ma nową autokar, którego wyposzczenie również przynosi symboliczne dochody.

— Telewizor, szachy i warcaby przestały już wystarczać — mówi wicedyrektorka placówki, Antonina Kuna — wtedy musiały być naprawdę atrakcyjne, aby zmusić za-twardziałego domatora do zruzenia kapci.

Jeżeli Dom Kultury jest naprawdę żywy, to młodzi ludzie sami się gromą. Zdolna młodzież zawsze znajduje u nas swoje miejsce i fachową pomoc. Mamy specjalistów z różnych dziedzin sztuki, ciekawe księgozbiory z zakresu muzyki, teatru i filmu. 25 lat pracy w kulturze nauczyło mnie wielu rzeczy. Tutaj nie ma zawsze trzeba rozpoczynać pracę od podstaw. Wystarczy, że odejdzie człowiek, wokół którego wszystko się obracało i następuje zastój.

— Nasza placówka jest nie najgorzej wyposażona — wtrąca dyrektor Sergiusz Łukaszkus — posiadamy podstawowy sprzęt audiowizualny. Przydałoby się wideo, ale nie możemy nawet o tym marzyć. Brak pieniędzy sprawie, że ciągle nie nadążamy za postępem technicznym. My marzymy o wideo, a tymczasem wszędzie wchodzi do użytku komputery.

— Placówki kultury muszą być przede wszystkim dograne i estetycznie urządzone — przerywa Antonina Kuna — żeby mogły myśleć o pozostałych rzeczach. Tymczasem wiejskie kluby i gminne ośrodki ciągle przegrzają z domami, które są wyposażone w jadowi mebel i kolorowy telewizor.

Cheć mi się śmiać, kiedy słyszę o tym, że każdy GOK powinien posiadać sprzęt wideo, kamery i taśmy magnetowe, na których mogliby zanotować zanikający folklor. W rzeczywistości w wielu GOK-ach brakuje nawet porządnego krzesła.

OLGA PACEWICZ

TEATR LALEK

Najpierw na scenę „wehodzi” drzewo, na którym zamierza dokonać żywota Majster, protoplasta tytułowego bohatera. Krakwiec ma dożyć życia, głównie z powodu niekontrolowanego przrośtu naturalnego nekającego jego dom. Wystarczy, że Majster wyjdzie za próg, na przykład nad wodę, i już przynosi w koszu nowe dziecko. Dzieci jest dużo, jedzenia mało. Nędza.

Majster odrzuca życie, wybiera powrót, ale — jak na ironię — nawet krzewa w pobliskim lesie są tak anemiczne, że nie wytłumiają obciążenia. W momencie kulminacyjnym, kiedy desperat zarzuca petle na szczyt, pojawia się Śmierć. Za nią jednak nie chce uławić mu kontaktu z zaświatami. Krakwiec w zawodowym odruchu lata jej podniszczoną kapotę. A że robi to solidnie, kosztucha z wdzięcznością ofiaruje się zostać matką chrzestną jego „dziecka z koszyka”.

Po takim wstępie zaczyna się akcja właściwa, pojawia się Feliks. Rośnie na naszych oczach. Zdobycia popłatny fachu, zostaje medykiem. Wehodzi w konszachty ze Śmiercią, która toruje mu drogę do kariery. Feliks udrzwia ludzi („dziesięcioma kropkami na cukrze”), jeśli Śmierć stanie u wejźwi chorego albo rezygnuje z interwencji, jeżeli współdziała ulokuje się w nogach łózka.

„SZTAMA”

„SZTAMA” to w OLEKU wydarzenie. W centralnym punkcie miasta kolorowe afisze, w największym barze, położonym blisko GOK-u, miejsca, w którym spotkani się odbywają — przy bębnie i herbatce rozmowy o teatrze. Klub „U Potęgowej” czynny dłużej niż zwykle, frekwencja na dyskotekach jakby mniejsza.

Każdy dzień spotkań rozpoczyna się spektaklami dla dzieci.

Najciekawszym spośród obieranych przeze mnie przedstawień dla dzieci był „Taki los” w wykonaniu Teatryku Cieni z Przerzosi. Oryginalność jego polegała na wyborze „dziwnego”, zupełnie nie spotykanych w sztukach dla dzieci tematu i niezwykle oszczędnej formie. Nie było tu króla, Kopluska, ani Czerwonego Kapturka. Główną rolę grał wycięty z papieru pak- jak krzyżak.

Na każdym innym spektaklu maluchy nie reagowały tak nieoczekiwanie i żywiołowo jak podczas oglądania teatru-

baśnia „O Medyku Feliksie” o był Śmierci chłodziakiem” Gustawa Morcinka — debiutuje na scenie teatru lalkowego student Wydziału Reżyserii białostockiej PWST, Piotr Tomaszuk. Pierwsza próba wskazuje na to, że młody reżyser jest pełnym uczniem, szybko opanował tajniki rzemiosła i potrafi posługiwać się nim doświadczenie.

Najbardziej pochłonięty jest lalką, w jej konstrukcji i metamorfozach potrafił nowych możliwości ekspresyjnych. Użyte w scenicznym adaptacji lalki to oryginalne konstrukcje z patyków, aleformnych głowach, zachwytanych proporcjach (niezwykle wydłużone) i zniekaskowanych, często karykaturalnie potraconych rytmach. Są dodatkowa informacja o świecie, z którego przychodzi.

Reżyser miał również nosa wybierając na autora muzyki, SZAWOMIRA CZARNECKIEGO. Nuty nie tylko doskonale współgrały z treścią baśni, lecz także ją wzbogacały. Muzyka tworzyła emocjonalne dźwięki i obrazu, pogłębiała nastroje. O bogactwie i wyjątkowości tekstu dźwiękowego świadczy też finał, z operowym rozpianym głosem (przygotowanie wokalne chóru i poszczególnych aktorów — bez zarzutu).

Scenografia Rajmunda Strzeleckiego jest oszczędna, utrzymana w ogólnie obowiązującej konwencji, ale nie zawsze zachwyca.

Prapremierowe przedstawienie zostało zagrane bez żadnych aktorskich wpadek. Sztuka ma kilka dobrych ról. Najbardziej rzuca się w oczy Diabeł, przemieniony potem w łatwo ulegającego pokusom grubasa, pozostającego w służbie u Medyka-Feliksa. W roli tej autor adaptacji obsadził Adama Zielenieckiego — z wyraźną „vis comica”, użegnietniającą się zarówno w animacji, jak i sposobie oprowadzania głosem. Aktor ogry-

ku z Przerzosi. Kieruje nim Jarosław Rykiewicz. Wszystko — scenariusz, efekty dźwiękowe, rekwizyty — to jego dzieło. Z wykształcenia jest technikiem mechanikiem, ale zainteresowania ma inne. Oscylując wokół tego, czym się od pewnego czasu, jako pracownik miejscowego GOK-u, zajmuje.

Przedstawienie teatru z Przerzosi nie da się porównać z tad-

wa lalkę trickową. Na naszych oczach Diabeł w jednej sekundzie zryca z siebie wszystkie czarce dodatki i zaczyna paradować w skórze komicznego z trudem turkającego swoje żąłzyne ciało typa.

Uwagę widza nie uchodzi również ognisty temperament dwu ukazujących się w epizodach „kusiścielek” — różowej i nieco leciwej Kokoty (animacja: Krystyna Matuszewska) oraz jej nieodłącz-

nej towarzyszkii (biała i znaczniejsza młodsza wersja, animowana przez: Jolantę Rogowską).

Tytułowy Feliks (Wiesław Czołpinski) od początku do końca bez zgrzytów utrzymuje się w gorsecie pozytywnego bohatera, nie odstępując go Śmierci — jest poprawna. Pozostali aktorzy są na właściwym miejscu, z wyjątkiem Serafina, który co prawda ciós ma mocny (jedyne machnięcie likwiduje i Śmierć i Diabla), ale głosik „tyci”, nie do odczytania nawet w pierwszych rzędach.

Historia opowiedziana przez Piotra Tomaszuka nie jest przynajmniej, ma coś z farsy z ludowych baśni, które najsmutniejsze

towało się pięć teatrów w sześciu przedstawieniach. Nie było wśród nich dobrych. Były świetne i po prostu złe. Niestety te stanowiły wielkość. Ale po kolei.

TERESA CIBORSKA szczerze. Monodram to forma sceniczna wyjątkowo trudna. Żeby osiągnąć właściwy efekt, tzw. właściwie odebrany przez widza, trzeba zagrać swoją rolę naprawdę dobrze. Ale to nie wszystko. W wypadku monodramu nie mniej ważne jest to, co na

Dziesięć kropel na cukrze

Czy poza zręcznym kuglarstwem (korzystaniem z dostępnych środków technicznych) w sztuce jest coś jeszcze?

Spektakl ma sporo ciekawych pomysłów, ale też kilka dziwnych i pustych scen. Pusta i jakby nie dokończona — nawet nie zabawna, choć dynamicznie rozegrana — jest odsłona ukazująca Feliksa na uniwersytecie. Wbijanie nauki do głowy odbywa się tutaj dosłownie (jeden z żaków z pasją tłucze głową w stertę solidnie oprawionych ksiąg). Treść nawiązania — powiedzieliśmy dzisiaj — dostosowane zostały do życia i sprowadzone do trzech lacińskich maksym: Pecunia non olet (Pieniądze nie śmierdzi), Manus manum lavat (Ręka rękę myje) oraz Repetitio est mater studiorum (Powtórzenie jest matką nauki). Wśród żaków z pewnością są Włosi, bo lacińskie „repetitio” wymawiane jest tutaj z końcówką „cio” (repeticio) a nie „repetitio” jak mieliśmy zwać starożytni Rzymianie. Oprócz lekcji łaciny Feliks bierze lekcje z

matematyki, choć trudno, oglądając ich na scenie, to uwierzyć. Wysoką technikę poruszania się i mimiki osiągnęli po czterech latach ciężkiej pracy. Ważną rolę w przedstawieniach teatru odgrywa muzyka. Tworzy ją, współpracując z zespołem Dariusz Kędziński.

Na wyróżnienie zasługuje występ Teatru AGT z Oleka. „3-M” to sztuka o życiu małżeńskim: dwoje ludzi żyje razem, a właściwie obok siebie. Łączy ich jedynie fotografia. 3-M” to również sztuka o wrogociści pici i barterach między ludźmi w ogóle. Autorem scenariusza i reżyserem jest Zbigniew Terepko, główny organizator tegorocznej „Sztamy”.

Wszystkie spotkania odbywały się przy nadkompletnych publiczności. Stanowiła ją przede wszystkim miejscowa młodzież, wspaniale odbierająca te przeciętne, wyjątkowo każdy przejaw amatorszczyzny. To zasługa ludzi, którzy już po raz ósmy „Sztamę” w Oleku organizują.

JOANNA HOFMANN

Tylko złe, albo... znakomite

scenie się mówi. Teresa Ciborska nie uwzględniła tych warunków, porwała się na coś, czego nie była w stanie udźwignąć. Co niestety było aż nadto widoczne.

„Terminus a quo” z NOWEJ SOLI. Aktoży z tego teatru wyszli z założenia, że im głośnie, i mocniej na scenie tym wradzie, im akurat odwrotnie. Atakowania widza to jeden ze sposobów dotarcia do niego. Ale atakowanie nie myślenie, nie obliczenie na efekt.

„Kłaps” z BIAŁEGOSTOKU przedstawił sztukę zatytułowaną „Kobiety u grobu”. Po zakońc-

Sieradzu. Widzieliśmy go w dwóch przedstawieniach. Obydwa bardzo dobre, poziomem odbiegające od wszystkich pozostałych prezentacji oleckich spotkań. Kieruje nim Andrzej Majewski, zafascynowany teatrem pantomimy Henryka Tomaszewskiego, naśladowcy w dobrym tego słowa znaczeniu dokonania tego największego polskiego mima.

Teatr „Vivarium” tworzy dwanaście osób. Wszyscy są

Lampasy w poprzek

Książka prelat Walerian Meysztowicz, przedwojenny radca kanonik przy Watykanie, do seminarium duchownego wstąpił prosto z 13 pułku ułanów, w którego kampaniach wojennych zdobył Virtuti Militari i Krzyż Walecznych. Przy oficjalnych wiecach okazując się eszarytą, zdobył cały rząd orderów i medali wojennych, a także, zgodnie ze swym zawołaniem — prelatowskie fiołkowe guziki, wypustki i szeroki, fiołkowy pas. Ujrzawszy go w tak oryginalnie zdobionej sutannie, świeżo przybyły do Rzymu ambasador Rzeczypospolitej, a i generał ułanów jednocześnie Bolesław Wieniawa-Długoszewski wykrzyknął:

— A nigdy jeszcze nie widziałem ulana noszącego lampasy w poprzek! (Om)

Wybrał życie wśród plemion

Szwajcar Bruno Manser jest jednym z tych, którzy polubił życie w dżungli i ani myślał wracać do cywilizacji. Na początku 1984 r. udał się wraz z ekspedycją naukową do Malezji i osiadł wśród plemienia Penanów, zamieszkujących Borneo.

Jego wiza wygasła 31 grudnia 1984 r., ale urzędnicy nie na to nie mogą poradzić. Penanowie nie dopuszczają ich do Brunona.

Ostatnio na Borneo zjawił się jego młodszy brat, Peter, ale jego starania aby skłonić Brunona do powrotu, również nie przyniosły rezultatu. (P)

Jak mówi słoń?

Słońce żyje w dużych stadach. W poszukiwaniu pożywienia, pojedyncze rodziny rozchodzą się na obszarze dziesiątków kilometrów kwadratowych, utrzymując przy tym łączność między sobą, aby w razie potrzeby szybko zbiec się w stado.

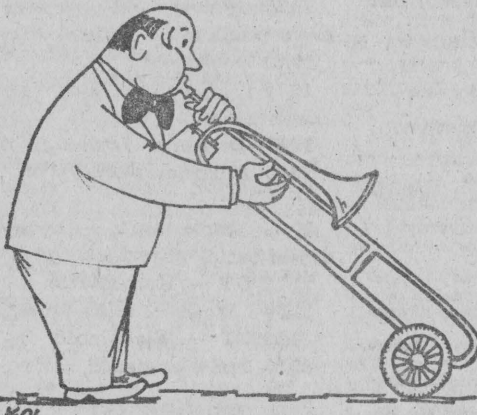
Naukowców już od dawna intrzygała zagadka, jak słońce porozumiewa się na tak duże odległości.

Ostatnio specjalistę ustalił, że giganty te wydają dźwięki na bardzo niskich częstotliwościach, których ucho ludzkie nie jest w stanie wyłuchiwać. Dźwięki te docierają na odległość ponad 20 kilometrów.

magazynek Gazety Współczesnej



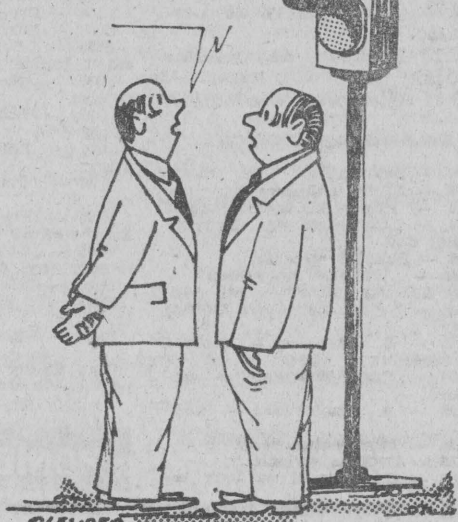
Pożegnanie z morzem...? CAF — J. UKIELEWSKI



Skok z mostu

36-metrowej wysokości most na rzece Firth of Forth w Szkocji był widownią desperackiego skoku 23-letniego studenta, który postanowił rozstać się z życiem. Dramat rozgrywał się na oczach funkcjonariuszy straży wybrzeża, którzy natychmiast wezwali łódź ratunkową. Zanim przybyła, desperat który cudem tylko odniósł niewielkie obrażenia, dopłynął do brzozy o własnych siłach. (P)

A W OSTATECZNOŚCI ZAŚWIECIMY ZNOW ZIELONE ŚWIATŁO!



Rys. K. OLENDER

Gdzie podziały się „dobre maniere”?

Co znaczy dobre zachowanie? Instytut badania opinii publicznej na podstawie przeprowadzonych badań, doszedł do wniosku, że wyobrażenia o tym co wypada, a co nie wypada, w minionych 20 latach zdecydowanie zmieniły się w Niemczech Zachodnich. „Dobre maniere”, które kiedyś wywoływały oburzenie, dziś w ogóle nie swawiają, na siebie uwagi. Mieszkańcy RFN nadal nie są skłonni akceptować dwóch sytuacji, kiedy młodzi ludzie nie ustępują miejsca starszym osobom w środkach komunikacji publicznej i kiedy ktoś zaczyna za stołem palić papierosa zaniżając skoczność jedzenia.

Tylko co płać obywateli RFN nadal uważa, że wychowany mężczyzna powinien wstać, kiedy do pokoju wchodzi kobieta. Przed 30 laty ponad 80 proc. ludności była przekonana, że jest to jeden z najważniejszych wymogów dobrego wychowania. (P)

MYŚLI PRZEKORNE

I piate koło u wozu nieraz utoczy się na wielką magistralę historii.

Piramidy problemów są specjalnością faraonów nad Wistą.

Gdy Polak zaufa Polakowi, to jeszcze będą się kłócić na temat zaufania.

Ze wszystkich diabłów, diabolus politicus najbardziej opętał nasze umysły.

ZBIGNIEW WAYDYK

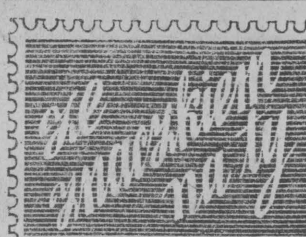
KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 4) przewraca oczami, 8) rozjaśnienie umysłu przy użyciu kagańca, 9) pif-paf, 10) swojski pentagon, 11) umiejętność tworzenia rzeczy pięknych, 15) stol na rozdrożu, 18) przyjmowanie kandydatów do szkół, 19) dawne urządzenie składające się z dwóch kamieni, 20) sprytniejsza od diabła, 21) podwyższone stopnie, 23) brak mu podstawowych wiadomości, 23) kolarzkie naczynie, 24) zgłasza się w celu ratowania sprawy, 28) różni kapłani drużyny od pozostałych graczy, 31) pod szynami, 33) gwiazda spadająca, 34) czarna — dla odpalonego konkurenta, 35) chodzi się z nią.

PIONOWO: 1) do nabrania, 2) profanator, 3) kobieta w kompanii, 4) szkielet abakurowy, 5) sędziwa z sąsieda grzebienia i tuza, 6) łączy Napierskiego z Rubikiem, 6) powstaje z ranka podobnie jak masło ze słomy, 7) matka mufa, 12) pozytywna ocena, 13) nieleczenie się z nikim i z niczym, 14) obokrajowiec wśród polskich miast, 16) zapobiega ściekaniu wody po ścianie, 17) chlebowy albo solny, 19) materiał na Ewę, 20) odmowa posłuszeństwa, 25) nieproszony gość, 26) tancerz ze Starożytności, 27) tancerz którego nie można tańczyć we dwoje, 29) deptak dla mrowia, 30) półkolezycowy cios, 32) bywa w owczej skórze.

LESZEK

Pomiedzy czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali trafne rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z numeru 237”.



Pod koniec września w klubie „Agromet” w Czarnej Białostockiej odbyła się wystawa filatelistyczna, poświęcona zbliżającej się 69 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Zorganizowało ją miejscowe koło Polskiego Związku Filatelistów, przy wsparciu dyrekcji zakładów.

Na wystawie zgromadzono 10 interesujących zbiorów. Były wśród nich kolekcje znaczków poświęconych Wielkiemu Październikowi, Leninowi, polsko-radzieckiemu braterstwu broni, osiągnięciom Polski Ludowej, walce o pokój. Ekspozycja także zbioru tematycznie kulturalnej, przyrodniczej, sportowej.

Wystawa cieszyła się ogromnym zainteresowaniem mieszkańców Czarnej Białostockiej, a szczególnie dzieci i młodzieży. Warto tylko wspomnieć, że zwiadały ją dzieci wszystkich klas miejscowych dwóch szkół podstawowych.

Jak twierdzą organizatorzy, dzięki tej i poprzednim wystawom, w Czarnej Białostockiej znacznie wzrosło zainteresowanie znaczkami pocztowymi i filatelią. Dlatego już się myśli o zorganizowaniu podobnej wystawy w przyszłym roku w związku z 35-leciem „Agrometu”.

Dość obszernie piszę o wystawie w klubie FMR „Agromet” nieprzypadkowo. Otóż od pewnego czasu obserwujemy ożywienie wystawiennictwa filatelistycznego w niektórych zakładach. Myśle

Przykład: Czarna Białostocka

choćby o wspomnianym już „Agromecie”, a także np. Elekcie Przedsiębiorstwa Budowlanego i bardzo interesującej wystawie poświęconej postępowi i technice w budownictwie. Aktywnie działają także koła PZF w innych zakładach.

Wydaje się, że warto pomyśleć o szerszym włączeniu filatelistyki w programy zagospodarowania wolnego czasu i ożywienia działalności kulturalnej. Z powodzeniem do tego celu można wykorzystać placówki kulturalne w naszych zakładach.



NA ZDJĘCIU: znaczki ONZ poświęcone pomocy dzieciom.

pocztowy. W związku z tym tamtejszy UPT stosować będzie datownik okolicznościowy.

ZAGROŻONE ZWIERZĘTA

Coraz więcej rzadkich zwierząt zagrożonych jest wyginięciem. W akcie ich ratowania wpręga się także znaczki pocztowe. Ostatnio znaczki i blok o tej tematyce wydała Tanzania. Przedstawia one oryksa, żyrafę, nosorożca, geparda.

CALGARY '88

Kanada emitowała 2 znaczki poświęcone Zimowemu Igrzyskom Olimpijskim w Calgary. Przedstawiono na nich hokeja na lodzie i biathlon.

FILATELISTA

KONIEM GO!

Gdy piszę te słowa, trwają jeszcze zmagania między Kasparowem i Karpowem o mistrzostwo świata w szachach. W „Filateliste” Jerzy Parfieniecki drukuje ciekawą rozprawę o tematyce szachowej w filatelistyce. Warto przeczytać. Okazuje się, że tej królewskiej grze poświęcono już wiele znaczków i innych walorów.

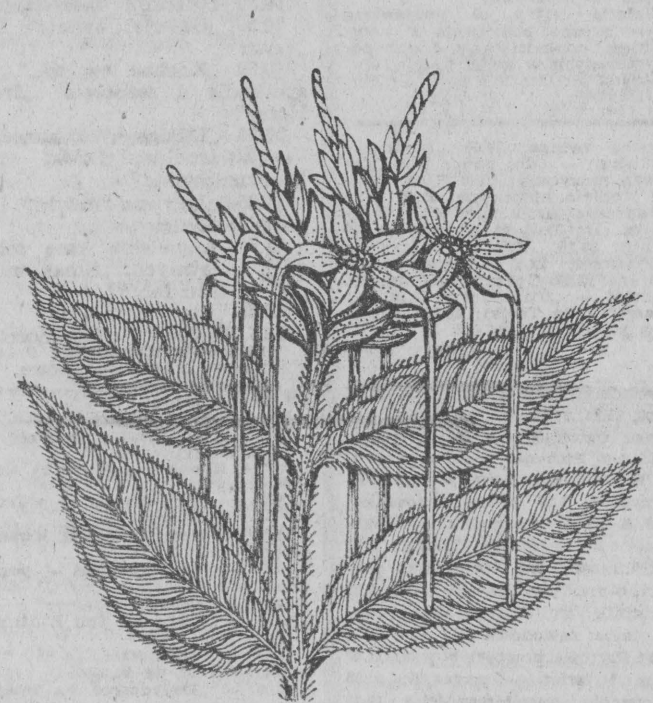
STEMPEL W LIPSKU

18 października w Lipsku nad Biebrzą ma być oddany do eksploatacji nowy urząd

Z mieczem na stację benzynową

W bardzo oryginalny sposób obrabowano stację benzynową w Praytown w stanie Missouri. Jej obsługą wręcz opiekowała się osoba przebrana w strój... japońskiego wojownika Ninja. Ninjowie byli w dawnej Japonii członkami sekty „sekretnych zabójców”. Bandyta, uzbrojony w tradycyjny japoński miecz i mówiący z japońską po angielsku, zażądał wydania całej gotówki. Niestety, jego pech polegał na tym, że w kasie było tylko 230 dolarów. (P)

DZIWI ŚWIATA ROŚLIN



Roślina zabijająca słońce

W Afryce rośnie niezwyklej urody liana — strofant wdziczny. Wydaje ona owoce — torbki wypełnione drobnymi nasionkami, każde zaopatrzone w pęczek trujących, jedwabistych włosków. Nasiona zawierają silną truciznę, którą tubylcy niszczą strzałami. Strofant należy do nienajbardziej roślina mogących usmierdzić słońce. Śmierć jest natychmiastowa na skutek porażenia akcji serca.

Pierwsze wiadomości o istnieniu tej niezwyklej trucizny pochodzą od konsula angielskiego Kircza. W roku 1885 Fraser wyodrębnił z nasion strofanta glikozyd — strofantynę. Wkrótce strofantynę zaczęła odgrywać rolę farmakologii wybitną rolę: do dzisiaj jest najcenniejszym lekiem w terapii niewydolności mięśnia sercowego. Okazało się więc, że małe dawki silnej trucizny ratują życie wielu chorym.

Po II wojnie światowej wyruszyły do Afryki liczne ekspedycje różnych firm farmaceutycznych. Badania prowadzone na miejscu dowiodły, że oprócz strofantyny roślina zawiera substancję wykorzystywaną w syntezie cennego leku przeciwciepłotowego — kortyzonu. Przedtem lek ten produkowano z żółci zwierząt, ale dla otrzymania jednej tylko dawki trzeba było usmierdzić 40 uoiów.

Rys. J. LENGIEWICZ

Zegarki, klipsy, wisioriki i guziki... oczywiście tę modę wymyślił Szwajcarzy. CAF — Keystone

Następcy Dedala

Grupa młodych konstruktorów z Massachusetts Institute of Technology (MIT), którą kieruje 29-letni John Langford, przystąpiła do realizacji ambitnego projektu odbicia lotu między Kretą a stałym lądem Grecji na superlekkim samolocie napędzanym siłą mięśni ludzkich.

Według mitologii, Dedal i jego syn Ikar, uciekając przed panującym na Krecie okrutnym królem Minosem, próbowali dotrzeć do stałego lądu na własnoręcznie zrobionych skrzydłach. Siońce stopiło jednak wosk użyty przy konstruowaniu skrzydeł i wyparował, co spowodowało, że Ikar spadł do wody.

Wzrost zespołu Johna Langforda ma przebiegać dokładnie tak samą trasę liczącą 111 kilometrów. Lot zaplanowano na przyszły rok; prawdopodobnie odbędzie się na wiosnę, gdyż w tym właśnie okresie nad Morzem Egejskim panują najlepsze warunki atmosferyczne dla tego rodzaju przedsięwzięcia.

Opracowanie projektu modelu samolotu, któremu nadano nazwę „Michelob Light Eagle”, kosztowało 74.000 dolarów. W czerwcu br. przystąpiono do budowy samolotu. Środki na ten cel — 195.000 dolarów — wyłożył Brower Anheuser-Busch, „Eagle” ma ważyć około 20 kilogramów i będzie posiadał grafittowe skrzydła o rozpiętości ponad 30 metrów, tj. dłuższe od skrzydeł odrzutowca DC-9. Zostanie ponadto wyposażony w pedały napędzające 3,6-metrowe śmigło. Konstruktorzy zakładają, że podczas lotu nad Morzem Egejskim „Eagle” rozwinie przeciętną prędkość 24 kilometrów na godzinę, osiągając pułap 4,5 metra nad powierzchnią wody.

Sukces tego przedsięwzięcia jest uzależniony nie tylko od sprawności pojazdu i jego parametrów technicznych, ale również od tego, czy uda się odpowiednio wytrenować pilota. Przelot nad Morzem Egejskim ma trwać ponad czterdzieści godzin, w czasie których pilot będzie musiał bez przerwy pedałować w stałym rytmie.

Nie ustalono jeszcze w jaki sposób chłodzone będzie ciało pilota; konstruktorzy zamierzają posłużyć się do tego celu albo kilkoma wentylatorami umieszczonymi w kabinie, albo po prostu bryłą lodu, która jednocześnie dostarczałaby wody pitnej dla ugaszenia pragnienia. Nie znaleziono także jeszcze sponsora, który ofiarowałby 400.000 dolarów na sam lot.

Zanim dojdzie on jednak do skutku, wcześniej przeprowadzona zostanie próba generalna na znacznie krótszym dystansie — 43 km. Obecny rekord długości lotu na samolocie napędzanym siłą mięśni ludzkich należy do „Gosamara Albatrossa”, który w 1979 roku pokonał Kanał La Manche.

„Eagle” jest jednak o 50 proc. od niego wytrzymałszy, rozwija o 30 proc. większą prędkość, a jednocześnie zużywa o 15 procent mniej energii. (P)

HOROSKOP & przymiśleniem oka

BARAN 21.03 20.04	Nieoczekiwany rozwój wydarzeń w pracy. Niezręczne posunięcie sprawi trochę zamieszania. Interwencja wpływowej osoby pomoże w tarapatkach. Niewykonanie kłopoty materialne. Ważna rola w rozwoju odgrza Law. Możliwe niezdanie na Raka.
BYK 21.04 21.05	Tydzień zapowiada się barwnie i intrygująco. Możliwy ciekawy wyjazd i interesujące znajomości. W sferze uczuć, jesienne uniesienie serca. W pracy sprawdzian kwalifikacji. Nie odchodził ważnej decyzji dotyczącej kariery zawodowej. Sympatyczny Ryby.
BLIŹNIĘTA 22.05 21.06	Powrót równowagi psychicznej i energii. W pracy niespodziewanie pomysłowy rozwój wydarzeń. Nowe, rewelacyjne pomysły. Barwne przeżycia w towarzystwie miłej sercu osoby. Mieliktorz zapowiada się wręcz sensacyjną podróży. Poprawa finansów. Serdeczny Koziorożec.
RAK 22.06 22.07	Umocnienie swej pozycji w pracy. Twoje akcje wciąż idą w górę. W domu możliwe zmiany. Nieprzewidziane okoliczności sprawią, że spadną na Ciebie dodatkowe obowiązki. W sprawach serca, niepokój! Zdrowie i finanse w normie. Zycielny Lew.
LEW 23.07 22.08	Dobre notowania w pracy i spore sukcesy. Niewykluczone atrakcyjna propozycja. W życiu osobistym ważne wydarzenia. W domu kłopotliwa awaria. W uczuciach wiosenne. Zdrowie delikatne. Finanse solidne. Sprzyja Ci Waga.
PANNA 23.08 22.09	Na początku tygodnia przykry incydent wyprawi Cię w zły humor. Odłbie się to przede wszystkim na najbliższym spotkaniu. W połowie tygodnia poprawa nastroju i powrót do dobrych stosunków domowych. W pracy bez zmian. Przyjajmy Wodnik.
WAGA 23.09 22.10	Duże zmiany w pracy. Nowe wymagania i większa odpowiedzialność sprawi, że osoba nie do zastąpienia. Możliwy awans. W życiu prywatnym radości i troski dnia codziennego dzielona z osobą, na którą można zawsze liczyć. Zdrowie i finanse dopiszą. Ważny Wodnik.
SKORPION 23.10 22.11	Zaskakujące dowody sympatii w pracy sprawia Ci dużo przyjemności. Głębokie przemyslenia i odważne decyzje w sprawach osobistych przyniosą korzystne rozwiązania. W domu goście i niespodzianka. Spore wydatki. Pamiętaj o Wadze.
STRZELEC 23.11 21.12	W pracy korzystna dla Ciebie zmiana. Spłot okoliczności sprawi, że staniesz się osobą nie do zastąpienia. Możliwy awans. W życiu prywatnym radości i troski dnia codziennego dzielona z osobą, na którą można zawsze liczyć. Zdrowie i finanse dopiszą. Ważny Wodnik.
KOZIOROŻEC 22.12 20.01	W pracy spore zajęcie i konieczność dotrzymywania terminów. W domu rozwiązanie problemu, który od dłuższego czasu spędza Ci sen z powiek. W sprawach serca, niespodziewanie stracony wątek sensacyjny. Lepsze stowrnie i finanse. Przyjajmy Baran i Wodnik.
WODNIK 21.01 20.02	Tydzień spokojny i sympatyczny. W pracy trochę nowości i normalny rytm. W życiu osobistym sukces na niwie towarzyskiej. Korzystne rozwiązanie skomplikowanej sprawy rodzinnej wzmacni Twój autorytet. Finanse dobre. Serdeczne Ryby.
RYBY 21.02 20.03	W pracy nowy, silny impuls do ambitnych działań. Intrygująca wiadomość z kręgu spraw rodzinno-domowych. Serdeczne kontakty z przyjaciółmi starej daty. Zdrowie i finanse w normie. Ważna Panna.